Łódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NR 19 (1222) ROK XXIV 10 MAJA 1981 R. CENA 3 ZŁ

Materiały z sesji Rady Narodowej poświęconej sprawom kultury zamieszczamy na str. 6–7

Ryszard Binkowski

rozbić mafię

W kolejkach do sklepów mięsnych przeważają renciści. Pomstują na tych rządców ludowych, którzy doprowadzili kraj do katastrofy. A jednocześnie wspominają z rozrzewnieniem czasy przedwojenne, kiedy to niemal przy każdej mniejszej ulicy był „prawdziwy rzeźnik", u którego można było kupić świeże mięso, świeże wędliny, i to „do wyboru, do koloru", z „różnościami w jednym flaku" włącznie. Ci z nich, trzeźwo myślący, zastanawiają się głośno, jak to się stało, że w Polsce Ludowej, która mogła eksportować mięso i zaspokajać potrzeby ludności, doszło do tego, że trzeba mięso dzielić za pomocą nożyczek, odcinając kupony. W głosach ludzkich brzmi troska, złość i rozgoryczenie. System reglamentacji nie skrócił kolejek, wzmógł udrękę personelu i klientów. Wprowadzenie reglamentacji kosztuje miliony złotych, płacimy za to wszyscy. Dlaczego więc musieliśmy się uciec do tego zła koniecznego?

Najważniejszym partnerem Polski w obrocie produktami rolnymi były i są kraje kapitalistyczne. Do 1973 roku bilans był korzystny i wynosił 16 proc. importu i 19 proc. eksportu. Potem zaczęło się to psuć, a w roku 1975 nastąpiło całkowite załamanie hodowli. Stało się tak nie tylko z powodu ogólnych zaniedbań w rolnictwie, ale przede wszystkim z racji wprowadzenia reglamentacji pasz treściwych, która wyeliminowała z hodowli setki tysięcy gospodarstw chłopskich, zwłaszcza drobnotowarowych. Niesławnej pamięci premier **Jaroszewicz** usiłował załatwić sprawę znaczną podwyżką cen artykułów spożywczych, w tym mięsa. Wiemy, do jakiej to doprowadziło tragedii ludzkiej. A w jej cieniu dokonywał się dramat gospodarczy, jego skutki odczuwamy najboleśniej właśnie dzisiaj.

Podwyżkę na artykuły spożywcze cofnięto, wprowadzono natomiast „ciche podwyżki". Jednocześnie podnoszono płace i wzrastał popyt na mięso i jego przetwory. Aby ratować sytuację rząd **Jaroszewicza** starał się za wszelką cenę odbudować hodowlę. Udało się to dopiero po trzech latach: w 1978 roku stan pogłowia osiągnął pułap z r. 1974, kiedy to zwierząt mieliśmy najwięcej. Chwalebne byłoby to osiągnięcie, gdyby nie koszty, jakimi je uzyskano. Otóż rząd postawił na nowoczesne technologie „zbożochłonne", wychodząc z założenia, że jak się kupi zboże, to zwierząt będzie więcej. No i zamiast 5 mln ton rocznie zaczęto kupować 7 mln ton, a ostatnio nawet 10 mln ton zbóż. Produkcja zwierzęca przewyższyła znacznie produkcję roślinną i to był decydujący moment, bardzo tragiczny w skutkach. A tak, na marginesie, warto wtrącić, że gdyby chłopom podwyższono znacznie ceny na zboże oraz dano im odpowiednią ilość nawozów, to te miliony ton ziarna wyrosłyby na polach, można by tym żywić zwierzęta, mieć swoje mięso, a miliardy dolarów zostałyby w kraju.

Technologia „zbożochłonna" nie jest taka zła, tej decyzji rządu nie należy w całości przekreślać. Ale twardogłowi decydenci, marzący o latyfundiach państwowych i uspołecznieniu całego rolnictwa, popełnili kolejny fatalny błąd. Zakupione dodatkowo zboże szło do sektora państwowego, tutaj też, zamiast u chłopów, znalazło się m. in. 2 mln sztuk trzody chlewnej więcej niż przed

Dalszy ciąg na str. 3

9 maja — Dzień Zwycięstwa. Archiwalne zdjęcie przedstawiające żołnierzy polskich w Berlinie

Marek Szukalak

dokąd poligrafio?

Drukarze poszukują dróg wyjścia z impasu, w jakim znalazła się poligrafia. Uważają jednak, że sam papier sprawy nie załatwi. Nawet gdy go będzie pod dostatkiem, to i tak drukarnie bez modernizacji nie będą w stanie wszystkiego przerobić. Wyeksploatowany do maksimum park maszynowy nie pozwala zwiększyć wydajności, a tym samym wydrukować większej ilości książek.

Niska jakość książek nie wynika tylko ze złej jakości papieru. Stosowanie oprawy bezszwowej, polegającej tylko na klejeniu kartek i przyklejeniu okładki, doprowadzono u nas do absurdu. **Książki, które mogłyby służyć kilkunastu czy nawet kilkuset czytelnikom — jak lektury szkolne, które będą zawsze potrzebne dopóki istnieje szkoła — rozsypują się po kilkakrotnym przeczytaniu i są wyrzucane na makulaturę.** Nawet dzieciom z I i II klasy szkoły podstawowej serwuje się tak oprawione książki.

Wygodnictwo drukarzy oraz bezmyślność wydawców godzących się na to, powoduje, że nigdy nie zaspokoimy potrzeb rynku w tej dziedzinie. Mało tego. Również wydawnictwa mające służyć jako kanon wiedzy są tak oprawiane, a przykładem tego jest chociażby wydana przez PWN — „Historia Polski" — J. Wyrozumskiego.

Drukarnie są pokrzywdzone, jeżeli chodzi o podział zysku. Obowiązujący taryfikator bardzo nisko wycenia koszty drukarni poniesione w produkcji książek. Udział drukarni w podziale zysku w przeliczeniu na jeden egzemplarz książki sięga maksymalnie 25 proc. ceny księgarskiej, a często jest on o wiele niższy i nie przekracza 10 proc. ceny. Udział „Składnicy Księgarskiej", a więc przedsiębiorstwa tylko rozprowadzającego książkę, sięga 25 proc., czyli tyle samo!

Jako środek zaradczy proponuje się obecnie zastosowanie odpowiednich przeliczników mających na celu zwiększenie opłacalności produkcji książek. Pozwolą one tylko wyrównać koszty poniesione przez zakłady z uwagi na dokonaną w ubiegłym roku regulację płac. Natomiast w roku przyszłym ma nastąpić podwyżka cen książek związana z wprowadzeniem nowego cennika. Wydaje się, że sprawa ta powinna być inaczej rozwiązana. **Powinno nastąpić przegrupowanie zysku, który w chwili obecnej jest dzielony niewspółmiernie do poniesionych nakładów.** Książki są już wystarczająco drogie i nie powinno się dalej ich ceny windować. Zysk osiągany przez wydawnictwa, jak i drukarnie i księgarnie, powi-

Dalszy ciąg na str. 5

Wacław Opacki

w kręgu łapownictwa

Na początku przykład. W połowie 1977 roku przyglądałem się prowadzeniu postępowania karnego w sprawie o łapownictwo. Było ono, w moim odczuciu, nową odmianą tego procederu, który jeden z reporterów lokalnej gazety na Wybrzeżu nazwał „łapownictwem uprzemysłowionym".

Zakład Hydrauliki Okrętowej w Prabutach posiadał galwanizernię uchodzącą za jedną z najnowocześniejszych w Polsce, o rzadko spotykanych parametrach technicznych. Chromownia dysponowała m .in. pionowymi wannami o głębokości trzech tysięcy milimetrów, dzięki czemu można było w nich chromować bardzo długie wały.

Podczas gdy moc produkcyjna w Prabutach nie była w pełni wykorzystana, dyrekcje innych zakładów w kraju głowiły się nad możliwościami chromowania tak bardzo potrzebnych im części. Korzystały z konieczności z usług firm zachodnioeuropejskich, najczęściej zachodnioniemieckich. Koszt chromowania jednego wału wynosił, bagatela, kilkanaście tysięcy marek.

Decydowano się i na to.

Gdy jednak rozeszła się wieść o istnieniu odpowiedniej chromowni w kraju, zaczęto do niej kierować kroki. Otrzymywano odpowiedzi — nie ma rezerw mocy przerobowych. Ponawiano więc próby. Bezskutecznie. Do Prabut przyjeżdżały delegacje aby przekonywać tamtejszą dyrekcję. I wreszcie przekonywały...

W końcu czerwca z Fabryki Maszyn Włókienniczych „Matex" w Zduńskiej Woli zostaje wysłane do „Hydrosteru" zamówienie na chromowanie dwudziestu wałów. Odpowiedź przychodzi w połowie lipca: **„w związku z brakiem mocy przerobowych w oddziale chromowni, nie jesteśmy w stanie przyjąć waszego zamówienia na wykonanie usługi chromowania wałów".** W listopadzie „Matex" ponawia: **„bardzo prosimy o przyjęcie**

Dalszy ciąg na str. 4

KRONIKA KULTURALNA

ROZPOCZĘŁY się w Łodzi i województwie Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy. Program obchodów jest bardzo skromny. Zabraknie tradycyjnego kiermaszu książki, ale odbyły się już lub odbędą inne, także już tradycyjne imprezy. Poniedziałek 4 maja był Dniem Bibliotek, 9 maja będzie Dniem Kultury Ludowego Wojska Polskiego, 10 Dniem Wydawcy i Księgarza, 17 — Dniem Kultury Osiedli Mieszkaniowych, a 20 — Dniem Działacza Kultury. 20 maja otwarte zostaną w Warszawie XXVI Międzynarodowe Targi Książki.

Oragnizatorami większości imprez będą biblioteki. Ciekawe mogą się okazać giełdy książek używanych: biblioteki wystawiać będą na nich własne zbiory, a także dopuszczać do sprzedaży zbiory prywatne.

Otwarta zostanie nowa biblioteka, będzie to pierwsza biblioteka w Łodzi posiadająca własny, wybudowany dla niej specjalnie gmach, a nie jak to zwykle bywa adaptowany.

W Miejskiej Bibliotece Publicznej im. L. Waryńskiego otwarte zostaną dwie wystawy: „Konstytucja Rzeczypospolitej" i „Książka oskarża".

*

JUŻ KILKA DNI TRWA w Łodzi cykl prezentacji plastycznych „Twórcy 81" W poprzednim numerze „Odgłosów" podawaliśmy kalendarzyk części imprez. W bieżącym informujemy o dalszych.

Od 8 do 17 maja w pasażu przy al. ZMP czynna będzie wystawa rzeźby Zbigniewa Władyki. 11 maja w al. ZMP obejrzeć będzie można aranżację plastyczną Tymoteusza Lekiera „Dzielenie przestrzeni". Od 11 do 18 maja w Salonie Fotografiki ŁTF dokumentacja fotograficzna akcji plastycznej „Wielcy i biliscy", oraz wystawa fotografii Eugeniusza Hanemana. Witolda Krymarysa, Mariusza Łukawskiego, Wiesława Maciejewskiego, Jana Madejskiego, Andrzeja Pukaczewskiego W Galerii Bałuckiej natomiast wystawa rysunku i grafiki Andrzeja Jakuszewskiego.

✲

Z OKAZJI Święta Pracy Ogólnopolski Komitet Frontu Jedności Narodu wyróżnił swoich aktywistów odznakami Zasłużonego Działacza FJN, otrzymało je 37 osób Wśród wyróżnionych znaleźli się także dziennikarze: Jadwiga Rybicka, Bogusław Sikorski i Jerzy Kraskowski. Gratulujemy! Odznaki wręczył przewodniczący ŁK FJN, prof. dr Antoni Kotełko.

✲

W MAJU odsłonięta zostanie tablica pamiątkowa ku czci prof. dr Aleksandra Kamińskiego. Tablica umieszczona będzie na domu przy ul. Buczka 30, w którym A. Kamiński mieszkał. Na uroczystość odsłonięcia ma przybyć doc. Janina Kamińska, wdowa po Aleksandrze oraz wybitni działacze harcerscy z czasów okupacji.

W DNIU odsłonięcia tablicy, w Muzeum Historii Miasta Łodzi odbędzie się wieczór wspomnień zatytułowany strofą K. K. Baczyńskiego „Niebo złote ci otworze"...

✲

W OBERHAUSEN od 5 do 10 maja trwa Międzynarodowy Festiwal Filmów Krótkometrażowych. Polskich filmów zostanie zaprezentowanych na nim siedem, w tym dwa zrealizowane w Łodzi Jeden to film „Tango" - Zbigniewa Rybkowskiego (Studio Małych Form Filmowych) i drugi „Fechmistrz" — Bogdana Dziworskiego (Wytwórnia Filmów Oświatowych).

✲

TEGOROCZNE obchody Dnia Zwycięstwa rozpoczynają się w Łodzi już w piątek, 8 maja uroczystością w Parku im. Poniatowskiego przed Pomnikiem Bratersta Broni. Zebrani oddadzą hołd poległym żołnierzom, następnie odbędzie się uroczysty capstrzyk — kompania honorowa Garnizonu Łódzkiego WP, orkiestra garnizonowa oraz kompania Milicji Obywatelskiej i Straży Pożarnej przemaszerują z Parku im. Poniatowskiego do placu Wolności. 9 maja uroczyste apele odbędą się w jednostkach wojskowych garnizonu łodzkiego. W parkach i ośrodkach wypoczynkowych zorganizowane będą festyny i imprezy rekreacyjne.

Obchodzone w tym roku święto 9 maja połączone jest w Łodzi ze świętem Chorągwi Łódzkiej ZHP. Harcerze wezmą udział w uroczystym capstrzyku, a 9 maja odbędą apel przed Pomnikiem Martyrologii Dzieci Polskich w Parku im. Promienistych.

✲

5 MAJA z okazji 36 rocznicy wyzwolenia obozów śmierci Mauthausen-Gusen byli więźniowie tych obozów zebrali się wraz z rodzinami przed Pomnikiem Męczeństwa na Radogoszczu aby uczcić pamięć i oddać hołd swoim pomordowanym kolegom.

✲

W CZĘSTOCHOWIE odbył się finał XXII Ogólnopolskiej Olimpiady Wiedzy o Polsce i Świecie Współczesnym. Tegoroczna impreza przebiegała pod hasłem „O postęp i pokój społeczny na świecie" i brało w niej udział 40 zawodników Wśród laureatów w grupie szkół ogólnokształcących znalazł się uczeń z Łodzi Włodzimierz Pokora.

✲

NA XVII Festiwal Piosenki Radzieckiej z Łodzi wyjadą: Władilen Karawaczew z Zakładowego Domu Kultury ZPB im. F. Dzierżyńskiego „ESKIMO" Bożena Krystek — studentka PWSM w Łodzi i zespół wokalno-instrumentalny „Fresk" działający przy Zakładowym Domu Kultury „Pamotex" w Pabianicach.

1 Maja — manifestacja pod Pomnikiem Czynu Rewolucyjnego w Łodzi

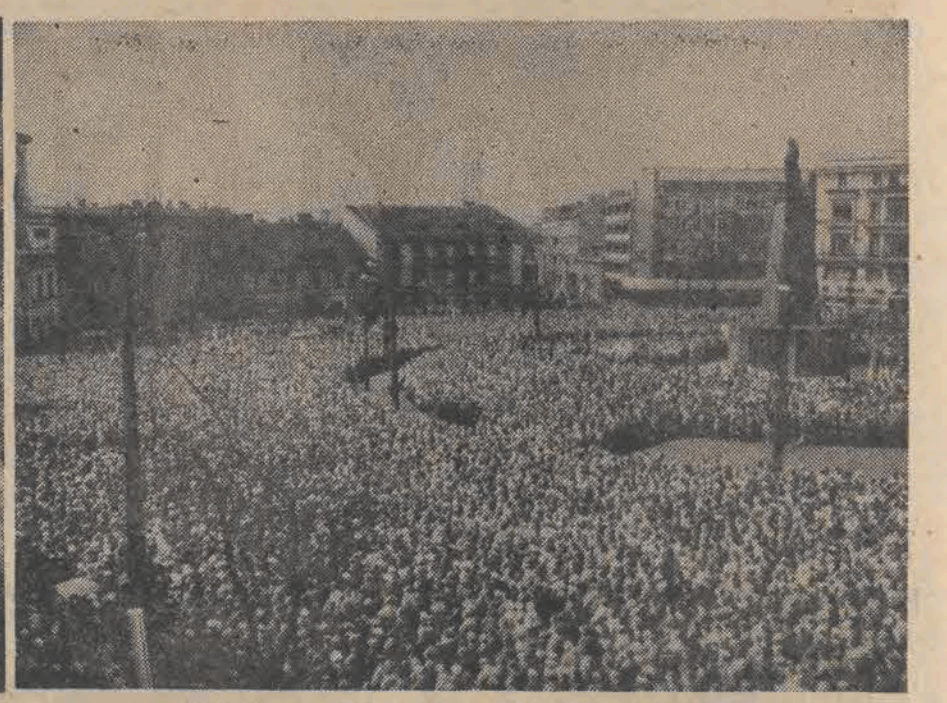

3 Maja — manifestacja na Placu Wolności w Łodzi

NAPRAWDĘ MOŻEMY WYGRAĆ WIELKĄ POLSKĘ

— MÓWI „SZTANDAROWI MŁODYCH" LECH WAŁĘSA

— Panie przewodniczący, od wydarzeń w Bydgoszczy minęło właśnie czterdzieści dni. Jak Pan sądzi, były one spowodowane niedojrzałością, brakiem odpowiedzialności politycznej tamtejszych urzędników czy też być może, sterowane były z Warszawy?

— Nigdy nie „gdybam", zawsze opieram się na faktach. Ponieważ ich nie znam, nie mogę odpowiedzieć z całym przekonaniem. Wydaje mi się jednak, że to była prowokacja,, wszystko na to wskazuje, z tym, że — powtarzam - nie mogę tego stwierdzić kategorycznie.

— Jeden z członków komisji rządowej badającej wydarzenia w Bydgoszczy powiedział nam, że były tam dwie prowokacje jednocześnie, jedna ze strony władz, a druga ze strony „Solidarności". Mylił się?

— Powiedziałem już, że nigdy nie „gdybam". Ponieważ nie sprawdziłem ani jednego ani drugiego, nie mogę się wypowiadać. Nie mogę, nie wolno mi nawet. Nigdy nie „sądzę", bo nie chcę być sądzony... Jeśli znam sprawę, jeśli jestem przekonany, mogę mówić, a tu — przypuszczam, że była prowokacja. Przypuszczać można, chociaż jest bardzo wątpliwe, by była także i z naszej strony. Bardzo wątpliwe.

Wiedziałem, że kiedyś do tego dojdzie. Wiedziałem bardzo dawno temu, że kiedyś dojdzie do konfrontacji tych dwóch sił — „Solidarności" z milicją i SB, bo to było nieuniknione. Jednocześnie myślałem sobie, że jeszcze trochę, jeszcze prędzej czy później, w toku naszej pracy, musieliśmy się z tym spotkać. Ja chciałem, pragnąłem, żeby to było jak najpóźniej, jak najdalej. Stało się inaczej.

— Może być ciąg dalszy?

— Może. Następna prowokacja będzie bardziej niebezpieczna. Ci co spadają, są zagrożeni, ci którzy mają nadużycia, będą się bronić. To są sprawy tak poważne, że trzeba zabierać się do nich mądrze, trzeba umieć do nich podejść, bo jeśli zrobi się zły krok, można oberwać (...)

— Powróćmy do dnia dzisiejszego — jak ocenia Pan sytuację w kraju?

— Można, naprawdę, wygrać wielką Polskę. Jest jednak wielkie, przypuszczam... nie, nie przypuszczam, jest wielkie niebezpieczeństwo, że jeśli się nie opamiętamy, nie opanujemy, to możemy tak oberwać, że nam nie wybaczą pokolenia.

— Kto ma się opamiętać i jakie nam grozi niebezpieczeństwo?

— No przecież, jeśli będziemy szli na zwady, bez przerwy do konfrontacji, jeśli będziemy atakować nie tak jak powinniśmy, to znaczy frontalnie milicję, SB, urzędy, to przecież ktoś nie wytrzyma. I zacznie się chaos, bałagan, bijatyka między nami. I wtedy ktoś trzeci będzie błogosławiony jeśli nas rozbroi. I to jest największe niebezpieczeństwo, nie interwencja. Interwencja to będzie nawet wtedy wybawieniem. I tego się boję.

Jako ludzie dotychczas rozsądni dużo mamy, oczywiście na papierze więcej, ale teraz najważniejsze — to uporządkowanie tego, zabranie się do roboty, jednocześnie oczywiście kontrolując, nie ustępując, nie przesuwając taktycznie, nie przypierając do muru. No przecież tych porozumień jest już za dużo, po co my teraz podpisujemy, przecież to jest nonsens. Teraz, dzisiaj, trzeba inaczej. Nie sztuka krzyczeć, ale sztuka krok po kroku, milimetr — coś osiągnąć, rozepchnąć to, dostać coś więcej. O — to jest sztuka Szukać dróg — ta nie skutkuje, to może inna jest dobra, teraz trzeba na drodze formalnoprawnej. Na przykład wyborcy przedstawiają posłom pięć postulatów, potem w telewizji oglądają głosowanie. Jeśli posłowie nie postąpią zgodnie z ich wolą, to wyborcy mają prawo zapytać — kogo wy reprezentujecie, nas? Tak można i tak trzeba! Jak zrozumiemy to, będzie dobrze. (...)

— Rozwój wydarzeń, zwłaszcza wyniki posiedzenia Krajowej Komisji Porozumiewawczej w Gdańsku po wydarzeniach bydgoskich i porozumieniu z rządem z dnia 30 marca — rezygnacje lub ich próby wielu działaczy „Solidarności" przekonują nas, że pańska koncepcja nie jest akceptowana przez wszystkich w stopniu jednakim, lub co najmniej takim, by opinie o różnicy zdań nie miały potwierdzenia.

— Kto nie ma przeciwników? Ja też mam, więc i moja koncepcja też ma przeciwników. Różnica między mną a nimi sprowadza się do tego głównie, że ja nie mam nawet czasu na takie rozważania. Myślę, że jak chcecie mi pomóc, to idźcie tropem tych właśnie rozważań Ludzie mnie zrozumieją, jak stanę na stadionie, to wiem, że mnie wysłuchają, ja się nie boję, bo ja gram czysto. Ludzie mnie zaakceptują, ale jednocześnie nie mam czasu na wyjaśnienie im o co mi szczegółowo w tej koncepcji chodzi. Niektórzy działacze robią inaczej — z różnych względów, czasem ambicja... A to ja mam więcej kwiatów i bardziej jestem przyjmowany... Wszyscy podobnie orzemy, a jeden otrzymuje. Oczywiście, ja się dzielę, no, ale ktoś może mi zarzucić, że nie całkowicie, że niesprawiedliwie się dzielę. To są ludzkie sprawy, ludzkie rzeczy. Także i smak władzy. Może mam jej za dużo...?

Dodajmy jeszcze radykalizm niektórych działaczy, radykalizm, a może coś innego jeszcze, niczego nie wykluczam — więc to wszystko trochę mi przeszkadza.

Przeszkadza, ale nie myślę że na tyle, bym mógł przegrać sprawę. Oczywiście nie ja sam, bo osobiście to w ogóle chętnie bym się wycofał Ja mam już dość, nie przyszedłem dla kariery, przecież jednak nie zostawię tego wszystkiego ludziom nierozważnym, bo mi dzieci wystrzelają.

Więc gdyby zrobili mi z dziesięć wywrotek, to i tak ja stanę publicznie i powiem wygram, niech nikt nie kalkuluje, jestem za silny. A silny przez uczciwość. (...)

— Jest Pan człowiekiem bardziej od nas doświadczonym i życiowo, i politycznie, przyjmujemy zatem pańskie wezwanie o uczciwość w życiu, jako wskazówkę nie tylko własnego postępowania, ale i oceny ludzi. Niech więc nam Pan powie, uczciwie, właśnie jak było z porozumieniem w dniu 30 marca. „Solidarność" ustąpiła, czy nie? Rulewski twierdzi, że przegrała wszystko.

— Oczywiście może twierdzić inaczej niż ja, nie znaczy to wcale, że między nami istnieje jakiś konflikt. Ja uważam, że nie. On może uważać inaczej, oczywiście zrobił wiele głupstw, ja zrobiłbym inaczej. Jego sprawa, że patrzy odmiennie. Ja do niego nie mam większych pretensji. Jeśli on ma, nich mi powie w oczy, ja sam mówię tylko w oczy. Nigdy nie zrobiłem mu nic złego.

— Musimy tu jednak przypomnieć Panu, jeśli Pan pozwoli, że konflikt między wami, o którym niedawno było zupełnie głośno, wyrósł na innym, jak sądzimy tle — oceny wydarzeń i podjętych w marcu kroków. Rulewski zarzucał Panu między innymi sprzeniewierzenie się demokracji, zasadom i przegranie szansy...

— Demokracja związkowa została złamana przede wszystkim wtedy, kiedy delegację na rozmowy wybrano tajnie i nie dano nam żadnych kompetencji. To było właśnie złamanie demokracji. Jeśli chodzi o mnie — gdybym miał powtórzyć sto razy posunięcie z końca marca, to powtórzę. W imię odpowiedzialności. Choćby mnie nazwano dyktatorem. Ja nie złamałem demokracji, w żadnym przypadku.

Teraz jeśli chodzi o ocenę podpisanego porozumienia. Przecież jeśli ja jestem działaczem związkowym, to moja ocena sytuacji nie może się sprowadzać do podpisanego papieru, swoją drogą słabego papieru, tu się zgadzam. Ale popatrzmy co się dalej w Polsce wtedy działo. Jedna trzecia radnych w Bydgoszczy poszła za nami, komitety partyjne komendy milicyjne, inne struktury dotąd nieme. Poszły i zauważyły, że w tej Polsce nie może być tak — na ostrzu noża z pięścią. Tak oceniajmy sytuację, a nie tylko pod kątem suchego papieru. Historycznie patrząc na papierze były fakty o nieagresji, a czy wszyscy z nimi się liczyli?

Powiem panom więcej, że ja przewidziałem nawet to, że będę potępiany za rozmowy, więc po raz pierwszy wprowadziłem szczegółowy zapis, dokładny protokół tego kto powiedział — i jest dokument, możecie panowie sprawdzić choć to wstyd — że Wałęsa to czy tamto, że Rakowski to. Bo wiedziałem, że mogą być pretensje, więc teraz mogą powiedzieć spokojnie — zobacz inżynierze Gwiazda, coś ty tam wywalczył. Ty zabrałeś głos dwa razy i dwa razy zepsułeś sprawę. Nie walczyłeś wcale. A pan z Łodzi? Przecież, zobacz, w ogóle nie zabierałeś głosu. To po jaką cholerę pan przyjechał? Ja walczyłem nonstop, możecie to przeczytać — kto jak walczył. Potępiać po tym — o, to jest łatwe, to każdy może. Ja to wyciągnę i wy też wyciągnijcie, kto co osiągnął. Jaka taktyka... To była rozgrywka, moim zdaniem przygotowana, tylko nie wyszła. Nie wyszła, bo zakłady pracy szybko się rzuciły i mi pomogły. (...)

Rozmawiali:
PAWEŁ LEWANDOWSKI
MAREK ORZECHOWSKI
(„Sztandar Młodych")

OD REDAKCJI:
Obszerny wywiad przytaczamy ze skrótami wynikłymi z powodów technicznych.

TYDZIEŃ W POLITYCE

Pierwsza tura wyborów prezydenckich we Francji zakończyła się spodziewanym wynikiem. z dziesięciu kandydatów **na polu walki pozostało dwóch: dotychczasowy prezydent Giscard d'Estaing i przywódca socjalistów** Mitterrand. Jeden z nich 10 maja zostanie szefem państwa. Który? Jeśli wierzyć sondażom szanse nieco większe ma Mitterrand — 51,5 proc. ankietowanych wobec 48,5 proc. Tyle jednak razy w krajach zachodnich sondaże zawodziły, że pewności żadnej nie ma.

Kandydat komunistów francuskich uzyskał trzeci w kolejności wynik, choć na niego padło mniej głosów niż w poprzednich wyborach. **FPK zdecydowała, że w drugiej turze udzieli poparcia socjaliście.** W wywiadzie telewizyjnym sekretarz generalny partii - Georges Marchais stwierdził, że w przypadku zwycięstwa Mitterranda zażąda tek ministerialnych w nowym rządzie. Socjaliści chcieliby tymczasem sformować jednopartyjny gabinet. W programie komunistów jest dokonanie serii posunięć w dziedzinie socjalnej, łącznie z podniesieniem minimalnych zarobków o 20 proc.

Prasa zagraniczna zauważa, że we Francji toczy się dziwny dialog za pośrednictwem plakatów i afiszów programowych. Giscard głosi bowiem najczęściej: „Francji trzeba prezydenta", a Mitterrand odpowiada na to: „Najpierw zlikwidujmy bezrobocie". Ta zadumiewająca wymiana poglądów uwzględnia ponoć fakt, że sami Francuzi zmienili się znacznie w ciągu ostatnich 20 lat i jak stwierdza paryski tygodnik „Le Point" wykazują obecnie więcej sceptycyzmu, samodzielności, nieufności, czego powodem ostatni kryzys gospodarczy. Będą więc raczej — konkluduje tygodnik — głosować przeciw czemuś niż za czymś. Kto więc zostanie prezydentem Francji?

Świat obiegła przed kilku dniami wiadomość, że **Stany Zjednoczone postanowiły uchylić embargo na sprzedaż Związkowi Radzieckiemu zboża oraz nawozów sztucznych.** Posypały się komentarze, z których część sugeruje jakoby oznaczało to pewną zmianę w polityce nowej administracji amerykańskiej. Takie sugestie pozbawione są podstaw. Sekretarz stanu — Haig powiedział zresztą wyraźnie, że to względy wewnętrzne, a nie międzynarodowe legły u podstaw tej decyzji. Rzeczywiście — Waszyngton nadal nie reaguje na radzieckie propozycje pokojowe, których pakiet, jak pamiętamy, zgłoszony został z trybuny XXVI Zjazdu KPZR.

W poniedziałek, a więc w dniu, kiedy komentarz siemy do druku, **rozpoczyna się w Rzymie sesja Rady Ministerialnej NATO.** W niektórych stolicach zachodnioeuropejskich łączy się z nią nadzieje na podjęcie sygnału do rokowań ze Związkiem Radzieckim na temat broni eurostrategicznej. Komentatorzy zachodni podkreślają, że sesja ta jest pierwszą po objęciu urzędu prezydenckiego przez Reagana i dlatego powinna przynieść ustalenie wspólnych akcentów zachodniej polityki zagranicznej oraz polityki bezpieczeństwa. Bonn jest zdania, że należy również wypracować linię związaną z madryckim spotkaniem przedstawicieli państw — uczestników KBWE, gdyż powinno się ono zakończyć merytoryczną deklaracją końcową.

Zainteresowanie w ub. tygodniu kierowało się także w stronę Moskwy, gdzie toczyły się radziecko-libijskie rozmowy na najwyższym szczeblu. Opublikowany po nich wspólny komunikat nie ogranicza się tylko do wzajemnych stosunków. I tak np. omawiając sytuację na Bliskim Wschodzie strony oświadczyły, że porozumienia z Camp David oraz separatystyczny układ egipsko-izrealski nie tylko niczego nie rozwiązały w tym rejonie świata, ale zaostrzyły sytuację i oddaliły powrót trwałego pokoju. Wyrażono zaniepokojenie rozwojem sytuacji w Libanie i potępiono agresywne działania Izraela oraz popieranych przez niego prawicowych ugrupowań w tym kraju. Przedyskutowano sytuację w rejonie Zatoki Perskiej i Morza Czerwonego, stwierdzając, iż koncentrowanie tam sił morskich powietrznych przez USA i inne państwa imperialistyczne niesie zagrożenie dla pokoju.

Jak wynika z komunikatu, rozmawiano również o sytuacji na kontynencie europejskim i trwających zbrojeniach w świecie. **Strony wypowiedziały się za kontynuowaniem bądź wznowieniem rozpoczętych uprzednio wielostronnych i dwustronnych rozmów w sprawie ograniczenia wyścigu zbrojeń i rozbrojenia.**

ZSRR i Libia wypowiedziały się za utworzeniem stref bezatomowych w Ameryce Łacińskiej, Afryce i na Bliskim Wschodzie oraz za utworzeniem stref pokoju w rejonie Morza Śródziemnego, na Oceanie Indyjskim i w Azji południowo-wschodniej.

Jak widać choćby z tego skrótowego przeglądu, tematyka rozmów była rozległa.

W. SŁAWSKI

Koleżance

ZOFII JAROS

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

BRATA

składa zespół „Odgłosów"

odgłosy

Redaguje kolegium JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), JERZY KATARASIŃSKI (z-ca redaktora naczelnego), EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół RYSZARD BINKOWSKI, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny).

Stale współpracują TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JEDRZEJEWSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI GIANC, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI.

Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSTYNA SARDECKA.

ROZBIĆ MAFIĘ

Dalszy ciąg ze str. 1

rokiem 1975. Jak się hoduje zwierzęta w SKR i PGR, pisałem już na tych łamach. Nie mogę jednak pominąć drastycznego przykładu, budzącego wstrząs i bulwersację, o czym pisze w książce „Żywoty bagienne" **Dionizy Sidorski.** Chodzi o Kombinat Łękarski „Wizna", gdzie kosztem dziesiątków milionów złotych zmeliorowano ponad 10 tys. ha bagien, niszcząc środowisko naturalne najbardziej dziewiczego zakątka kraju. Kombinat, mając ogromne zasoby zielonej masy, powinien być samowystarczalny w hodowli bydła. W 1978 roku kombinat przyniósł 15 mln zł strat, mimo uzyskanych 50 mln dotacji. W 1979 roku „zaplanowano" 11 mln złotych zysku, ale też obiecano kombinatowi 60 mln zł dotacji. Przez filię kombinatu w Sulinie przewija się rocznie 10 tys. byczków, z czego 25 proc., czyli 2500 zwierząt, nie dożywa normami przewidzianego wieku — zdycha albo jest dorzynane po złamaniu nóg na złych, śliskich rusztach. Kiedy wichura zerwała sieć elektryczną, stanęły urządzenia i obory zalało morze gnojówki. Zwierzęta zaczęły się dusić w oparach amoniaku, żarła je gnojowica. Tratowały się wzajemnie, słabsze padały i tonęły przygniecione przez inne. Ratując się, chwytały zębami za ogony silniejszych i odrywały je żywcem, zanim się utopiły w żrącym płynie.

Ktoś powie, że to nieludzkie. Ale to ludzie wymyślili. Nieludzkie, nieekonomiczne. Sulin zbudowano w 1976 roku za 65 mln złotych po to, żeby co roku przynosił 30 mln strat.

Taka była wizja Polski „hodowlanej" ludzi, którzy nie mieli pojęcia o rolnictwie. Dzięki ich pomysłowości mamy mięso dzielone nożyczkami. Ale twórcy systemu nadal są wśród nas. Trzeba rozbić tę mafię „mózgowców", którzy doprowadzili gospodarkę hodowlaną do katastrofy. I do tego właśnie jak sądzę, zmierza konsekwentnie rząd premiera **Jaruzelskiego.**

Jest wiele do zrobienia, żeby społeczeństwo odczuło pewną ulgę, żeby zaopatrzenie w mięso nie stawało się męczarnią. Reglamentacja ma pomóc szaremu obywatelowi. Ale przynosi negatywne skutki uboczne. Gastronomia np. zaczyna robić ciężko bokami, ajenci siwieją ze zmartwienia. W jeszcze gorszej sytuacji znaleźli się właściciele rzemieślniczych warsztatów wędliniarskich. Od 1978 roku odbudowywali te zakłady — nieraz kosztem 2—3 milionów złotych — po to, żeby ze z trudem zdobytych surowców, i to o niskiej gatunkowo wartości, dawać społeczeństwu znakomite wyroby wędliniarskie. Nie zdążyli spłacić kredytów, a już stoją przed dylematem: zawiesić okresowo produkcję lub zlikwidować warsztaty. Chodzi o to, że rzemieślnikom nie wolno kupować mięsa i tłuszczów od chłopów; z uboju gospodarczego. Dotychczas dostawcą surowców był przemysł mięsny, który obecnie sam musi hamować produkcję, gdyż ma za mało świń i bydła do przerobienia.

A więc nadal lepiej jest wozić żywiec do odległych zakładów mięsnych, zamiast dać go na miejscu do przerobu rzemieślnikom. Nadal powstają z tego powodu olbrzymie straty. Słuszne argumenty odbijają się od twardych głów i wciąż panuje choroba, zwana „prywatofobią". Inż. **Bogusław Porwisiak** z Ośrodka Badań Działalności Gospodarczej „Solidarności" łódzkiej przeprowadził dokładne badania wskazując, jakie straty przynosi transport żywca, ale podchodzi się do tego nieufnie, bez przekonania. A przecież dane są niezbite. Wskutek dziesięciodniowego przetrzymywania na skupie i w transporcie z siedmiu krów jedna ubywa. Przez pięć godzin, od chwili przewozu trzech świń o wadze 408 kg do zakładów mięsnych, ubyło na wadze 10 kg. Następnego dnia rano ubytek wyniósł 11 kg. Po kolejnej dobie straty wzrosły o dalsze 15 kg, a ostatniego dnia przed ubojem ubyło jeszcze 11 kg. W sumie tylko na trzech świniach straty wyniosły 47 kg mięsa.

Straty byłyby mniejsze, gdyby chłop otrzymywał zapłatę za tzw. wagę ciepłą bitą, tzn. za świnię zważoną już po zabiciu. Waga ciepła stanowi średnio 86 proc. wagi świni przed zabiciem. Te 14 proc. stanowi zmarnowana pasza, którą rolnicy z konieczności przekarmiają zwierzęta przed sprzedażą. Chronią się w ten sposób przed nieuczciwościami na punktach skupu. Chłopi nie byliby przeciwni wadze ciepłej, ale nie dopuszczają do tego urzędnicy. Zbyt wielu trzyma za jeden świński ogon i trzeba by wreszcie rozpędzić gang zbędnych decydentów. Naczelnik nie chce niczego zmieniać, bo ma spokój, nie nękają go reklamacje. Wagowy w nowym systemie skupu traci łapówy, bo nie może chłopa oszukać, ani „dołożyć" mu na wadze. Na to samo cierpi klasyfikator. Wadze ciepłej sprzeciwia się mały referent PZU, ponieważ traci 5 zł od sztuki, każdą bowiem ubezpiecza się na trudny transport.

A ludzie klną w kolejkach na reglamentację. Tymczasem ceny prosiąt na rynku wzrosły do 5 tys. zł za parkę. Hodowca-specjalista zaczyna się zastanawiać, czy mu się taki interes opłaca. Specjalista myśli raczej o maciorach i własnym wychowie prosiąt. Drogie prosięta trafiają częściej do gospodarstw małych i do chłoporobotników. Tylko że wyhodowane z tych prosiąt wieprze nie pojadą na punkty skupu.

System kartkowy znacznie podbił ceny na targowiskach. Ale nie każdy chłop ma czas handlować mięsem, chociaż państwo uznało, że chłop ma prawo sprzedawać nadwyżki po dowolnych cenach. Skorzystała z tego skwapliwie banda wszelkiego autoramentu handlarzy, cwaniaków, pseudorzeźników. Społeczeństwo powinno sobie uprzytomnić, że w hali targowej na „Górniaku" nie handlują chłopi i nie oni ustalają obowiązujące tam obłędne ceny. W hali króluje gang ludzi o czerwonych twarzach i brudnych, owłosionych rękach, w zaplamionych fartuchach. To rzeźnicy-rębacze. Wystarczy, że rano jeden krzyknie do kumpla: „Józek, lecimy po sto dziewięćdziesiąt", to choćbyś się zapłakał, już nie popuszczą, i zapłacisz te 190 zł. za kilo rąbanki.

Dlaczego tak się dzieje? Ano dlatego, że jeśli chłop po podwyżce dostaje od państwa 86 zł za 1 kg żywca, to gdy przyjedzie na wieś prywatny rębacz i zaproponuje 120 zł, chłop sprzeda, bo na tym zarobi i ma święty spokój. A prywatny rębacz zarobi w dwójnasób. Tak, bo on sprzedaje rąbankę po 190 zł, schab po 300 zł, słoninę po 150 zł, a szynkę (Jezus Maria!) po 800 zł! To już nie tylko złodziejstwo i bezczelność, ale zwyczajne zbydlęcenie! I ani PIH, ani milicja nie mogą sobie z tym poradzić. A przecież w hali na „Górniaku" mięso może sprzedawać tylko rolnik, który się wywiązał z umowy kontraktacyjnej.

Prywatny rębacz bierze świnię od chłopa, ten bierze zezwolenie na ubój w gminie i potem ów chłop inkasuje pieniądze w hali targowej, rzeźnik niby tylko rąbie, ale to on jest szefem. Trzeba tylko zobaczyć, co się dzieje po sprzedaniu mięsa. „Rębacz" zabiera podstawionemu chłopu pieniądze, wypłaca mu „postojowe", często dwie stówy za godzinę, odpija się po półbasie na łeb i sprawa załatwiona.

Rzecz jasna, ten „fikcyjny" rolnik to nie jest chłop, który ma duże gospodarstwo i dobrze rozwiniętą hodowlę. To jest właściciel jakiegoś drobnego gospodarstwa, który sprzedaje państwu dwa zakontraktowane świniaki, a potem bierze zezwolenie na ubój i żyje z asysty u rębacza, sprzedając mięso nie ze swoich świń i wolców, ale z kupionych przez rębacza w zupełnie innej parafii. Co parę tygodni na hali widać tę samą twarz „asystenta", to samo nazwisko widnieje na zezwoleniu.

A kim są rębacze, ci ordynarni i aroganccy spekulanci? Często są to półetatowcy, bez specjalnych uprawnień, np. dozorcy zatrudnieni na nocną zmianę. Trzymają się, jak mogą. Żeby przetrwać, bulą kierownikowi hali „Górniak" ciężką dolę. Ponoć zwyczajowa stawka miesięczna wynosi 7 tys. złotych. Szkopuł w tym, że nie można tego udowodnić, bo faceci są niesłychanie sprytni i milicja za rękę nikogo nie złapała.

Czy można rozbić tę kolejną mafię, która bezczelnie okrada społeczeństwo? Chyba tak. Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Rolników „Solidarność" oświadczył, że natychmiast po rejestracji skończy z tym haniebnym procederem, który przynosi ujmę chłopom. Można jednak zadziałać skutecznie już dzisiaj. Wystarczy przepędzić z hali targowej nieuczciwych rębaczy i przyjąć na to miejsce porządnych fachowców. Skąd takich wziąć? A po prostu z państwowych zakładów mięsnych, gdzie produkcja kuleje z braku surowca i dyrektorzy martwią się, co zrobić z nadwyżką zatrudnionych rębaczy.

Jednakże do rozbicia mafii handlarzy i pośredników najlepiej może się przyczynić inicjatywa Urzędu Miasta Łodzi, do której włączył się MKZ „Solidarność" Ziemi Łódzkiej i całą akcję pięknie rozwinął. Chodzi o to, żeby rolnikom umożliwiać sprzedaż nadwyżek mięsa w sposób legalny, korzystny i dogodny, w pobliżu miejsca zamieszkania. Wiceprezydent **Lech Krowiranda** ustalił, że przy każdej małej ubojni w gminie musi się znaleźć stragan ze sprzedażą mięsa wolnorynkowego. Ponadto rolnik mógłby sprzedawać swoje nadwyżki także przy masarniach. Byłoby wielce pożyteczne, aby właściciele zakładów rzemieślniczych (wędliniarskich) mogli zaopatrywać się w surowiec u chłopów. Myśli się także o uruchomieniu nie wykorzystanych sklepów mięsnych, gdzie na zasadach ajencyjnych rębacz i sprzedawca prowadziliby sprzedaż mięsa z rolniczych nadwyżek. Ajent i rzemieślnik liczą się z chłopem, to nie są ludzie typu chciwych, ordynarnych rębaczy z hali na „Górniaku".

A jakie będą korzyści z takiej sprzedaży wolnorynkowej? Chłop ma blisko do ubojni, świnia nie traci na wadze, a klient kupuje świeże mięso i wyroby wędliniarskie. Zapewniona kontrola lekarska zapobiegnie szerzeniu się włosienicy i duru brzusznego, a takie przypadki, niestety, zostały już odnotowane. Poza tym wiadomo, że jak w hali targowej jest 30 handlarzy z mięsem, to ceny nie są wysokie. Ale jak przyjedzie tylko pięciu, rębacze robią, co chcą, oferując takie ceny, że wściec się można. Natomiast w punktach sprzedaży proponowanych przez Urząd Miasta i „Solidarność", liczba sprzedających byłaby kontrolowana, dzięki czemu zachowane by też umiarkowane ceny. Ale po południu, gdyby mięso „nie poszło", cena mogłaby nawet ulec obniżeniu. Wychodzący po południu z pracy mieszkaniec Łodzi, mając pewność, że zaopatrzy się w mięso, pojechałby do Konstantynowa lub Zgierza, gdzie zamiast po 200 zł, jak na hali „Górniak", kupiłby rąbankę po 120 zł za kilogram.

Wydaje się, że posunięcie takie zyska poparcie u rolników i u konsumentów, należy więc jak najszybciej wprowadzić je w życie. Każdy sposób jest dobry, byle tylko poprawił sytuację rynkową. Ale najważniejsze jest to, żeby ciężar hodowli przesunąć w stronę chłopów, zwłaszcza tych drobnych. Na eksperymenty w socjalistycznych fermach gigantach już nas nie stać. I, dzięki Bogu, że zabrakło pieniędzy, bo mielibyśmy same kombinaty typu „Wizna", a w sklepach mięsnych puste haki na ścianach.

Foto: R. Łucyszyn

RYSZARD BINKOWSKI

LISTY DO REDAKCJI

AKCJA „ŻYWNOŚĆ"

Red. R. Binkowski w artykule pod tym tytułem („Odgłosy", nr 17), zaprezentował interesujące propozycje MKZ „Solidarność" Ziemia Łódzka co do rozwiązania problemu żywnościowego. Przedstawiony materiał ujmuje problem w sposób nader nowatorski, spotyka się z pełnym zrozumieniem środowisk chłopskich. Jednak niektóre wnioski budzą wśród rolników sporo zastrzeżeń pod kątem ich słuszności czy prawdziwości.

Otóż propozycja co do zakupu trzody chlewnej według tak zwanej wagi ciepłej bitej, nie jest czymś nowym. W gminie Czerniewice według tej metody odbywał się skup trzody chlewnej w okresie czterech ostatnich lat i był systematycznie krytykowany. Co więcej — rolnicy ładowali tuczniki na furmanki i udawali się do tych gmin, w których GS odbierały żywiec metodą tradycyjną. Skąd ta niechęć do — zdawałoby się bardziej uzasadnionej — klasyfikacji według wagi ciepłej bitej?

Powodów jest kilka. Rolnicy z reguły są nieufni co do takiej oceny, która odbywa się poza ich plecami, choćby nawet ta ocena była rzetelna. A niestety fakty tej rzetelności przeczą. Często ubytki sięgają 20 i więcej kg. Rolnik musi podejmować szereg interwencji, ażeby mógł uzyskać rekompensatę za oczywiste pomyłki. Fakt uznawania tych reklamacji za słuszne potwierdza zawodność tego systemu.

Przy tym systemie odbioru trzody chlewnej rolnik „na rękę" otrzymuje tylko część zapłaty. Na wyrównanie czeka po 4, 5 i więcej dni. A przecież zgodnie ze zdrowym rozsądkiem i poszanowaniem jego czasu, powinien w drodze powrotnej przywieźć do zagrody węgiel, paszę, czy też nawozy sztuczne. Czym ma zapłacić za zakup tych środków produkcji, jeżeli na należną zapłatę przyjdzie mu czekać półtora miesiąca lub więcej?

Trudno się zgodzić ze stwierdzeniem Autora, że „jesienią ubiegłego roku zdołano zbożami obsiać zaledwie 1/3 planowanego areału". Z takim stwierdzeniem nie spotkałem się w żadnej publikacji, bowiem kompletne dane zostaną zawarte w materiałach spisowych sporządzonych na początku lipca. W gminie Czerniewice, a chyba nie jest to gmina wyjątkowa, areał obsiany zbożami ozimymi wcale nie uległ zmniejszeniu w porównaniu do lat ubiegłych. Wywoływanie niepotrzebnego alarmu i sianie defetyzmu chyba nie jest nam potrzebne.

Kolejny postulat, który mija się z odczuciami rolników, to sugestia, ażeby rolnikom kontraktującym zboże przywrócić bonifikatę na nawozy. Otóż rolnicy wcale tego nie oczekują i od lat postulowali zniesienie wszystkich bonifikat, a to w miejsce ustalenia ceny zboża na zdrowych podstawach ekonomicznych. Wszelkie bonifikaty powodują wzrost biurokracji, wypisywanie kwitów, skryptów, i innych dokumentów, a rolników narażają na zbyteczną mitręgę, przechowywanie tych kwitów, zabieganie o zastosowanie tej bonifikaty. Komu to potrzebne? Rolnikowi wystarczy opłacalna cena.

Absurdalne jest też stwierdzenie, że wysiew ziarna kwalifikowanego jest zabiegiem zbytecznym, skoro rolnik ma własne ziarno. Otóż nasi rolnicy osiągnęli znacznie wyższy poziom wiedzy fachowej niż niektórzy eksperci zabierający głos w sprawach rolniczych. Nie spotkałem się w gminie Czerniewice, ażeby którykolwiek rolnik nie doceniał wartości genetycznych kwalifikowanego zboża. A już między bajki można włożyć tezę o tym, że zboże to nie ma sprawdzonej siły kiełkowania.

Henryk Młynarczyk
Czerniewice

Foto: R. Łucyszyn

W KRĘGU łapownictwa

Dalszy ciąg ze str. 1

zamówienia, gdyż wymienione wały wchodzą w skład urządzeń o poważnym znaczeniu dla przemysłu włókienniczego". Równocześnie z pismem, w Prabutach zjawia się delegacja z „Matexu" z argumentami w postaci — do wyboru — dużych nagród, podwójnych płac za wykonanie usługi, premii. Żeby wszystko grało — jest i oficjalna odpowiedź „Hydrosteru": **„Zamówienie przyjmujemy w ramach luzów produkcyjnych".**

Rachunki według umów-zleceń, jak i upoważnienia na pobranie pieniędzy, podpisywali in blanco pracownicy chromowni. A pieniądze trafiały do kieszeni kierownictwa „Hydrosteru".

Uzależnianiem wykonania usług od wypłaty przez przedsiębiorstwa kooperacyjne wynagrodzeń dodatkowych lub nagród zainteresowała się prokuratura. Zarzut bez trudności udowodniła.

Byłem kilkakrotnie w „Hydrosterze". Rozmawiałem z pracownikami chromowni. Mieli żal jedynie o to, że pieniądze, które przychodziły do zakładu za wykonaną przez nich pracę, nigdy nie trafiały do ich kieszeni. Chodziło im więc o uczciwość w nieuczciwości...

Zazwyczaj potępienie prawne prowadzi do potępienia moralnego — taką hipotezę postawił **Adam Podgórecki** w swojej pracy **„Empiryczna socjologia prawa".** Hipoteza ta znajduje potwierdzenie w wynikach polskich i holenderskich naukowców. **„Wydaje się zresztą** — pisze **Podgórecki — że jest to potępienie wtórne w tym sensie, że wywołuje je nie samo zachowanie o które chodzi, ale fakt naruszenia porządku prawnego i jego struktury".**

Czy odnosi się to także do łapownictwa? Mam przed sobą kwartalnik „Studia Socjologiczne" nr 1 z 1979 roku. **Jerzy Kwaśniewski i Andrzej Kojder** z Uniwersytetu Warszawskiego przeprowadzili badania ludzkich postaw wobec zjawisk i zachowań dewiacyjnych — odbiegających od normy. **„Jeśli chodzi** — piszą autorzy — **o reakcję społeczną wobec poszczególnych zachowań, polską opinię publiczną charakteryzuje w porównaniu z innymi krajami znacznie słabsze potępienie łapownictwa, które w Polsce nie mieści się w kategoriach negatywnych zachowań dewiacyjnych (...)".**

Mamy świadomość, że łapownictwo zatacza coraz szersze kręgi. Także wspomniane badania ujawniły, że **społeczeństwo jest przekonane o „wzrastającej intensywności występowania łapownictwa".** Takiego zdania jest aż 60,1 procent badanych respondentów.

Statystyki sądowe mówią zaś zupełnie co innego, są nawet wręcz optymistyczne.

Według rocznika statystycznego — w 1965 r. sądy prawomocnie skazały z art. 290 § 1 i 2 poprzednio obowiązującego kodeksu karnego — 755 osób, w 1967 r. — 572 osoby, w 1969 r. — 333 osoby. W roku 1971 — prawnie podejrzanych było 535 osób, ale wyrok prawomocny utrzymał się tylko w 373 przypadkach. W 1973 r. podejrzanych było 744, skazano — 459 osób. W roku 1974—1085 podejrzanych, skazano prawomocnie 503 osoby. W roku 1975—858 podejrzanych, 839 skazano (nieprawomocnie). W 1978 r. skazano 609 osób za przyjmowanie, zaś 906 za dawanie łapówek na 200 tysięcy wyroków karnych wydanych w kraju w skali rocznej.

Tak więc **liczba postępowań przygotowawczych wszczętych przez prokuratury jest nikła wobec oczywistości powszechnego występowania łapownictwa — problemu urastającego wprost do rangi społecznej choroby.**

Z przejawami łapownictwa spotykamy się na co dzień w warsztacie samochodowym („stówka — będzie szybciej"), w sklepie (meblowym na przykład: „7000 zł, a będzie komplet jugosłowiański"), w urzędzie („nie ma proszę pana spraw nie do załatwienia"), co najgorsze — w szpitalu („śmierć w szpitalu też kosztuje").

To ostatnie najbardziej szokuje. Ceną niedania w „łapę" może być ludzkie życie. Znana mi z 1975 roku sprawa dr Hanny J., ordynatora Oddziału Dziecięcego w Ostrołęce jest przykładem tego, jak dalece deformują się ludzkie postawy. Pani dr J. uzależniała jakość szpitalnej opieki nad chorym dzieckiem od faktu otrzymania łapówki. Niekiedy też odmawiała wykonania operacji, jeśli rodzice nie chcieli zapłacić haraczu. Sąd skazał dr J. na 4 lata pozbawienia wolności i 250 tys. zł grzywny. W innej — zeszłorocznej już sprawie i też dotyczącej ordynatora — wymuszone łapówki i tak nie miały żadnego wpływu na wzrost troski lekarza o zdrowie chorego. Jerzy S., będąc ordynatorem oddziału chirurgicznego nie dopełniał swoich obowiązków lekarskich także w przypadku chorych oznaczonych etykietą łapówki, co w konsekwencji doprowadzało do ich śmierci.

Przy tej sprawie warto zwrócić uwagę także na inny fakt, czemu zresztą dał wyraz prokurator i rozpatrujący sprawę Sąd Wojewódzki w Pile. Otóż w poprzednim miejscu pracy w Garwolinie, tamtejsza prokuratura prowadziła postępowanie w sprawie przyjmowania korzyści materialnych przez Jerzego S. Przełożeni nie wyciągnęli jednak z tego faktu żadnych wniosków. A takie były konieczne, zważywszy, że i poprzednik Jerzego S. na stanowisku ordynatora oddziału chirurgicznego został skazany przez sąd za branie łapówek.

Dopłaca się więc ludziom za to, co należy do ich obowiązków. Zmieniła się logika myślenia, ludzkich zachowań i odruchów: do sklepu nie idę żeby kupić, ale żeby załatwić — wszystko, dosłownie wszystko — od wirówki na szynce skończywszy. Ta powszechność prowadzi także do wymuszania zjawiska łapownictwa. Bywa, że urzędniczka po załatwieniu sprawy niespodziewanie odkrywa u siebie w kieszeni kopertę, wcale jej nie żądawszy...

Z odruchami zawiadamiania organów ścigania o przestępstwie łapownictwa spotykamy się rzadko. Nie leży to bowiem w interesie nie tylko biorącego, ale i dającego. **Do roku 1970** — wejścia w życie nowego kodeksu karnego — **sytuacja dającego była lepsza.** Unikał on karania nie tylko gdy zawiadamiał organy ścigania o fakcie łapownictwa, ale i gdy przyznawał się do niego w trakcie pierwszego przesłuchania. **Po 1 stycznia 1970 r. sytuacja radykalnie się zmieniła. Karany jest zarówno biorący jak i dający.** Dla obydwu teoretycznie istnieje możliwość zawiadomienia organu ścigania zanim on się o tym dowiedział. Ale i tak sprawę rozpatruje sąd, który niekoniecznie musi odstąpić od wymierzenia kary.

Niedawno czytałem dyskusję prawników poznańskich w dwutygodniku „Gazeta Prawnicza" pod wymownym tyułem: „Przeciw zmowie milczenia", dotyczącą art. 243 kodeksu karnego. Artykuł ten przewiduje możliwość zastosowania przez sąd nadzwyczajnego złagodzenia kary, a nawet zwolnienia od niej tego sprawcy, który o fakcie i okolicznościach przestępstwa zawiadomił organ ścigania, zanim ów dowiedział się o nim z innych źródeł. Znaczenie tego przepisu jest jednak niewielkie — chórem stwierdzają nie tylko dyskutanci. Zacytuję charakterystyczne wypowiedzi:

Sędzia: — W mojej praktyce sędziego orzekającego w sprawach karnych nie miałem okazji zastosowania art. 243 kk ani razu, jakkolwiek osądziłem wiele spraw o łapownictwo.

Adwokat: — Nie mogę się również pochwalić tym, żebym w swojej praktyce adwokackiej miał możliwość ubiegania się w interesie klienta o zastosowanie art. 243 kk w całym okresie obowiązywania nowej kodyfikacji karnej więcej niż kilka razy.

Prokurator: — Przepis ten jest stosowany, jakkolwiek rzadko. Dla potrzeb mojej pracy doktorskiej zbadałem wszystkie sprawy o łapownictwo osądzone przez sądy byłego województwa poznańskiego w latach 1970—77. Ustaliłem, że było 256 spraw, w których istniały, według mojej oceny, warunki do zastosowania art. 243. Spośród tych spraw sąd zastosował jednakże ten przepis tylko w 17 wypadkach przez nadzwyczajne złagodzenie kary (...) Z zawiadomieniami sprawców o przyjęciu lub daniu łapówki w praktyce mamy do czynienia niezwykle rzadko. Spośród analizowanych przeze mnie 456 spraw, w których moim zdaniem istniały przesłanki do stosowania art. 243 kk — w 256 sprawach „czystych" zawiadomień było 5.

Wprowadzenie przepisów o obustronnej odpowiedzialności łapownika i dającego spotkało się początkowo z powszechną aprobatą, ale utrudniło znacznie walkę z łapownictwem. Przepisy stworzyły swoistą solidarność: w interesie obu jest niewykrycie przestępstwa, nawet jeżeli łapownik nie wywiązał się z przyrzeczenia oznaczonego łapówką. Ponieważ łapownictwo zwykle odbywa się w dyskrecji, solidarność ta w znacznym stopniu utrudnia lub wręcz uniemożliwia wykrycie przestępstwa. „Spowodowało to konieczność wprowadzenia nowych, doskonalszych metod wykrywania łapownictwa" — czytamy w jednym z opracowań. Nic bardziej mylnego. Owszem, zmiany były konieczne, ale tylko w gęstości kontroli i ich dokładności. Jasne było bowiem, że tradycyjna metoda przyjmowania „zawiadomień o przestępstwie" lub oczekiwania na zgłoszenie — tu się nie sprawdza. Na zanikanie zawiadomień o łapownictwie wpływ także ma sama praktyka wymiaru sprawiedliwości, który bezceremonialnie i surowo traktuje ludzi zgłaszających fakt brania udziału w przestępstwie. Przy końcu 1977 r. w Sądzie Rejonowym w Elblągu obserwowałem proces, w którym oskarżonymi byli — prezes Rzemieślniczej Spółdzielni w Nowym Dworze i kilku rzemieślników z gminy. Prezes uzależniał przydzielenie robót rzemieślnikom oraz udzielenie im zaliczek na poczet prowadzonych prac w ramach zleceń spółdzielni od wręczenia mu różnych kwot pieniężnych. Prezes został skazany na 4 lata pozbawienia wolności i 35 tys. zł grzywny, rzemieślnicy zaś na niskie kary więzienia z zawieszeniem wykonania kary plus grzywny, lub tylko zapłacenie grzywny. Jeden z rzemieślników, inicjatorów zawiadomienia organów ścigania o przestępstwie, który miał zapłacić 25 tys. zł grzywny, powiedział do mnie na rozprawie:

— Po co się zgłaszałem? Powiększyłem konto przestępstw prezesa, ale i sam straciłem. Nie dość, że pomogłem milicji, to jeszcze mnie ukarali. Jak się kisiło, to i nadal mogło się kisić wszystko we własnym sosie.

Tak więc w praktyce społecznej rzadko spotykamy się z tzw. doniesieniami na siebie. Ludzie obawiają się braku wyrozumiałości organów ścigania czy sądu w stosunku do swojego czynu. Dotychczasowa praktyka sądowa potwierdza w całej rozciągłości słuszność ich obaw.

Na taki stan rzeczy ma m. in. wpływ mało moim zdaniem w tym przypadku skuteczne orzecznictwo Sądu Najwyższego (w idei słuszne, ale osiągające wręcz odwrotne skutki), w tym wyrok SN z dnia 22 kwietnia 1971 r., którego teza brzmi następująco: zawiadomienie powinno być spontaniczne i stanowić musi wynik swobodnej decyzji sprawcy, wolnej od wpływu już toczącego się przeciwko niemu postępowania karnego. W przeciwnym wypadku zawiadomienie takie przekształca się w przyznanie nie pociągające skutków przewidzianych w art. 243 kk.

Skoro już mowa o orzecznictwie, to **przyczyna niskiego stanu wykrywalności przestępstw łapownictwa jak i małych szans walki z nim jako plagą społeczną tkwi także w deformacjach prawnych postępowań przygotowawczych karnych prowadzonych przez prokuratorów, a także w sędziowskich wyrokach.** Najwymowniejszym przykładem może być sprawa Henryka J. z 1979 r., w której — cytuję publicystę „Polityki" — wyrok skazującego dla dającego łapówkę bez jednoczesnego osądzenia łapownika stworzył osobliwy i niebezpieczny w skutkach precedens. Oto sprawa:

25 rolników z odległych o kilkanaście kilometrów wiosek z zakontraktowanymi ziemniakami czekało na rampie kolejowej na dostawę wagonów. Czekali od rana, ale na próżno. Nie pomogła interwencja przybyłego na miejsce dyrektora oddziału Centrali Nasiennej. Ktoś stojący z boku podrzucił myśl, że wystarczy po 10 zł od kwintala i wagony będą podstawione. Mając w perspektywie powrót kilkunastu kilometrów z pełnym bagażem — nikt się z daniem pieniędzy nie zastanawiał. Pieniądze zebrał Henryk J., który wręczył je na osobności nieznajomemu kolejarzowi. Przeciwko Henrykowi J. po kilku miesiącach został sporządzony akt oskarżenia, nad którym Sąd Rejonowy w Łukowie długo nie debatował, wydając wyrok pozbawienia wolności z zawieszeniem. Rewizję od wyroku wniósł prokurator, który zażądał od oskarżonego także 15 tys. zł grzywny. Sąd Wojewódzki w Siedlcach pozew uwzględnił uzasadniając: „Skoro oskarżony skorzystał z dobrodziejstwa warunkowego zawieszenia kary, to tym bardziej kara grzywny powinna w odpowiedni sposób uwzględnić realizację celów represyjno-wychowawczych kary oraz celów w zakresie społecznego oddziaływania". Sprawą zainteresowała się Sejmowa Komisja Wymiaru Sprawiedliwości i Spraw Wewnętrznych oraz sam minister sprawiedliwości, który wnosząc do Sądu Najwyższego rewizję nadzwyczajną napisał: „Niebezpieczeństwo społeczne popełnionego przez oskarżonego czynu jest znikome... Sąd skazał tylko wręczającego łapówkę rolnika, nie analizując i doceniając społeczno-ekonomicznego aspektu czynu. Wymieniony chciał jedynie zaradzić przymusowej sytuacji dostawców, realizując cele społeczno-ekonomiczne na odcinku dostaw produktów rolnych".

„Jak nie posmarujesz to niczego nie załatwisz". Smarowanie może pomaga silnikowi, ale w społeczeństwie jest przyczyną strat. Za każdą ze spraw łapownictwa kryją się przede wszystkim szkody społeczne. Zwalczanie łapownictwa stało się trudne i nie można dać jednoznacznych i skutecznych recept, mimo, że obecna sytuacja społeczno-polityczna temu sprzyja. Nie ulega wątpliwości, że taką walkę trzeba podjąć dużo radykalniejszymi środkami. Proces ten będzie długotrwały.

Bez osłonek ujawniać mechanizmy — ukazywać reakcje — o to się prosi w przypadku każdej odkrytej sprawy.

Trzeba stworzyć klimat społecznego napiętnowania. Nie można ominąć dyskusji nad napiwkami, bombonierkami, kwiatami. Konieczny jest tu jednolity front działania organów samorządowych, kontroli społecznej, organizacji politycznych i społeczno-politycznych.

Nie łudźmy się jednak, że moralistyczne odwoływanie się do postaw ludzkich i budzenie społecznej dezaprobaty w walce z łapownictwem wystarczy. **Potrzeba przede wszystkim zlikwidowania chaosu w przepisach administracyjnych, większej ich przejrzystości i szerszego ich udostępnienia społeczeństwu.** Rozpoczętego dwa lata temu optymistycznego programu doskonalenia prawa, który uczyniłby go komunikatywnym i jednoznacznie brzmiącym nie tylko dla funkcjonariuszy państwowych ale i petentów, wykluczając (lub zmniejszając przynajmniej) bazę dla sprzedajności funkcjonariusza — nie dokończyliśmy. Program zginął właśnie w biurku urzędnika.

Także — a może właśnie przede wszystkim — istnieje konieczność zmiany prawnych konstrukcji odpowiedzialności karnej „za dawanie", które swoją idealistycznie wprost brzmiącą przesłanką sprawiedliwości społecznej („jeżeli się karze biorącego to i dlaczego nie karać dającego, który do przestępstwa też się przyczynił) — niesprawdzalną w praktyce — tylko śmieszną. Jeśli nie chcemy powrócić do ujęcia kompleksu spraw łapowniczych w formie przepisów kodeksu karnego obowiązującego do 1970 r., to należy dążyć do innego sformułowania — takiego, który by wyzwalał chęć „dających" łapówki do zawiadamiania organów ścigania o popełnieniu przestępstwa, dając tym samym gwarancję skutecznego prewencyjnego społecznego oddziaływania. Uprzednio dający łapówkę nie odpowiadał, jeśli najpóźniej przy pierwszym przesłuchaniu ujawnił przestępstwo organom ścigania. Przepis ten był krytykowany za swoją niemoralność, jako że był wykorzystywany przez niektórych ludzi dla celów szantażu („Musisz załatwić, inaczej zawiadomię prokuratora, że poprzednio brałeś. Ja złożę zeznanie i mnie puszczą, ale ty będziesz siedział"). Jednak wszyscy zgodnie chórem stwierdzają, że zlikwidowanie tego przepisu i wprowadzenie odpowiedzialności obu stron — niewątpliwie utrudniło zwalczanie łapownictwa jak i spowodowało rozpanoszenie się tego zjawiska. Tkwienie przy — w założeniach słusznych i sprawiedliwych — konstrukcjach prawnych, które nie tylko jednak rozmijają się z życiem, ale i powodują rozszerzenie się zjawiska, także powodując zatracanie właściwego sensu wymiaru sprawiedliwości, pachnie anachronizmem i nonsensem. Badania socjologiczne wciąż to potwierdzają.

Foto: R. Łucyszyn

WACŁAW OPACKI

PAPIER I CO DALEJ

dokąd poligrafio?

Dalszy ciąg ze str. 1

nien być proporcjonalny do wkładu pracy. A u nas jest odwrotnie. Największy wkład pracy daje drukarnia, a najmniej za to bierze pieniędzy. Pora więc na to, aby odpowiednio pokierować „nowym modelem gospodarczym" tak, aby zgodnie z nim drukarze mogli powiedzieć: „ile wypracowaliśmy, tyle mamy".

W chwili obecnej drukarze już niewiele więcej mogą zrobić. Moce produkcyjne są tak „wydrenowane", bo niejednokrotnie maszyny czy urządzenia, które nie są nawet jeszcze stare, wyeksploatowały się do maksimum. Potrzeba było dużo książek i drukarze drukowali tyle ile mogli, tylko że **modernizacja przemysłu poligraficznego jaka miała miejsce w ostatnim dziesięcioleciu nie poszła we właściwym kierunku.** Pomijając chybione zakupy, brak było w niej kompleksowego działania pozwalającego na równomierne rozbudowanie całego cyklu produkcyjnego książki. Zainstalowanie jednej nowoczesnej maszyny powodowało „wąskie gardło" na innych stanowiskach pracy i maksymalne eksploatowanie innych urządzeń związanych produkcją z tą nową maszyną.

Drukarze zdają sobie sprawę z trudności i szukają dróg rozwiązania. Nierentowność niektórych drukarń próbowano rozwiązać na drodze tworzenia WOG, co jednak nie zdało egzaminu. Kontynuacją tego procesu było stworzenie od 1 lipca 1980 roku kombinatów kolportażowo-prasowych, ale żywot był ich nietrwały, w czym niewątpliwie pomógł drukarzom proces „odnowy".

Gorzej przedstawia się sprawa z kombinatami tworzonymi w okresie, gdy nikt nie liczył się z wolą załóg. Sprawa jest tym trudniejsza, że istniejące do momentu połączenia struktury organizacyjne zostały tak dokładnie przemieszane że nic z nich prawie nie zostało.

Naczelną zasadą tworzenia takiego kombinatu był rachunek ekonomiczny, w wyniku którego całe przedsiębiorstwo miało się samofinansować. Polegało to na tym, że zakład nierentowny łączono z rentownym, a później w trakcie działalności wyniki osiągane przez poszczególne zakłady sumowano i przedsiębiorstwo jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki" stawało się rentowne. A trzeba szukać rozwiązań, które pozwoliłyby autentycznie na wyjście zakładów z impasu. Budziło to i budzi nadal niezadowolenie załóg.

Proces odnowy przyniósł ze sobą samorządność załóg i możliwość wspólnego zarządzania i decydowania o losie zakładu. Nic więc dziwnego, że również w przemyśle poligraficznym zaczęły uwidaczniać się ruchy zmierzające za przykładem innych przemysłów do rozbicia istniejących struktur organizacyjnych które nie zdają egzaminu. Proces taki ma miejsce również w Łódzkich Zakładach Graficznych i zapoczątkowany został we wrześniu ubiegłego roku, kiedy to wypłynął **wniosek załogi Zakładu nr 2 o odłączenie zakładów i powrócenie do dawnej formy organizacyjnej.** Załoga podtrzymała również ten postulat w październiku ub. roku, kiedy na wniosek załogi do Zakładu nr 2 przybył naczelny dyrektor Zjednoczenia Przemysłu Poligraficznego inż. **Jan Kluczek.** Od tej też pory toczyły się wspólne rozmowy Zjednoczenia z Komisją Porozumiewawczą Zakładu nr 2, bo takie ciało wyłoniła spośród siebie załoga dla realizacji tego postulatu. Nie przebiegały one jednak z pełnym zrozumieniem ze strony Zjednoczenia, gdyż w dniu 5 marca 1981 r. „Głos Robotniczy" zamieścił następujący apel:

„W dniu 5 marca 1981 r. w myśl zapewnień dyrektora naczelnego Zjednoczenia Przemysłu Poligraficznego inż. Jana Kluczka, o godz. 11 w Łódzkich Zakładach Graficznych — Zakład nr 2 przy ul. PKWN 18 rozpoczną się rokowania między Komisją Porozumiewawczą Zakładu nr 2, a dyrekcją Zjednoczenia Przemysłu Poligraficznego pod przewodnictwem inż. Jana Kluczka w myśl zarządzenia nr 11 prezesa Rady Ministrów z dnia 11 października 1980 r. w sprawie ustalania trybu rozpatrywania i załatwiania postulatów i wniosków załóg pracowniczych.

Rozmowy te mają na celu doprowadzenie do podpisania porozumienia o rozłączeniu zakładów, Zakładu 1 — tj. dawnej Łódzkiej Drukarni Dziełowej i Zakładu 2, tzn. dawnych Łódzkich Zakładów Graficznych, co było postulatem załogi naszego zakładu zgłoszonym dyr. Kluczkowi jeszcze we wrześniu ubiegłego roku.

Projekt porozumienia zawiera również żądania przywrócenia naszemu zakładowi dawnej nazwy tj. Łódzkie Zakłady Graficzne oraz podział majątku z uwagi na dokonaną jego komasację w momencie połączenia tj. 1976 r. Poszczególne punkty porozumienia mają charakter czysto wewnątrzzakładowy i nie wykraczają poza jego ramy.

Nikt też od września ubiegłego roku, tj. od momentu zgłoszenia postulatu o rozłączeniu zakładów podczas poprzedniej i jedynej zarazem wizyty dyr. naczelnego ZPP inż. Kluczka w naszym zakładzie nie umiał przekonać nas o bezzasadności tego postulatu, a wręcz przeciwnie, wszelkie dane jakie udało nam się uzyskać wskazują, że jest on słuszny.

Dlatego też z niepokojem patrzymy na brak partnerskiego traktowania nas przez ZPP, które usiłuje zbagatelizować nasz postulat i nie dopuścić do rozbicia kombinatu jakim są obecnie Łódzkie Zakłady Graficzne. Wydaje nam się, że odnowa jaka panuje w naszym kraju, w przypadku osób odpowiedzialnych za ten stan rzeczy zatrzymała się na etapie roku 1970. Mamy prawo tak przypuszczać z uwagi na ciągłe odwoływanie i przekładanie wizyt dyr. naczelnego ZPP inż. Kluczka w naszym zakładzie, które ma na celu wyłącznie maksymalne przeciągnięcie sprawy w czasie i zagmatwanie jej. (...)

Zaznaczamy, że ZPP nie wysunęło do tej pory żadnych w tej mierze propozycji zmierzających do usunięcia konfliktu, chowając przysłowiowo „głowę w piasek", tak w stosunku do naszego zakładu, jak i Zakładu nr 3 w Pabianicach, który również stoi na stanowisku odłączenia się od Łódzkich Zakładów Graficznych (...)

Zwracamy się do wszystkich towarzyszy sztuki drukarskiej, którym leży na sercu dalszy rozwój drukarstwa i samorządność załóg drukarń o moralne poparcie naszych dążeń zmierzających tylko do naprawy istniejącego stanu rzeczy. Konsekwencjami, jakie mogą wyniknąć z dalszego tak jawnego lekceważenia sobie naszych postulatów, należy obciążyć tylko wyłącznie Zjednoczenie Przemysłu Poligraficznego oraz ludzi do których świadomości nie dotarł jeszcze okres zmian, jaki nastał w naszym kraju i potrzeba dostosowania się do nich."

Spotkanie to doszło do skutku, lecz jak i wszystkie dotychczasowe nie przyniosło dla drukarzy Zakładu nr 2 konkretnej decyzji ze strony ZPP. Jedynym efektem spotkania było zobligowanie dyrektora naczelnego ZPP do przedstawienia sprawy Ministerstwu Kultury i Sztuki. Obecnie załoga z niecierpliwością oczekuje na rozmowy z przedstawicielami ministerstwa.

Dziwnym tylko w tej całej sprawie wydaje się fakt, tak długiego oczekiwania na załatwienie postulatu. Istnieje przecież zarządzenie prezesa Rady Ministrów, na które też powołują się przedstawiciele Zakładu nr 2, wyraźnie mówiące o trybie załatwiania postulatów oraz kompetencjach poszczególnych organów administracyjnych. Czyżby ZPP o tym zapomniało? Wśród załogi panuje uczucie rozgoryczenia. Tyle mówiło się o postulatach, zresztą sam dyr. **Kluczek** twierdził że „nie ma nic przeciwko rozłączeniu zakładów". A więc dlaczego?...

Sprawa ma o wiele szerszy aspekt niż mogłoby to się wydawać. Przykład Łódzkich Zakładów Graficznych — Zakład nr 2, którym się posłużyłem jest typowy, ale też nie jedyny w przemyśle poligraficznym. W sumie w chwili obecnej jest pięć zakładów dążących do wyłączenia spod kombinatów. Są to drukarnie w Zielonej Górze, Grudziądzu, Bielsku-Białej, Pabianicach i Łodzi. A ile jest jeszcze takich, o których nie dotarły wieści do Łodzi? Wszędzie też sytuacja jest podobna. Postulaty zostały zgłoszone i tylko brak jest decyzji. Czyżby więc podjęcie takiej decyzji było aż tak trudne? Wcale nie. Trudno tylko przyznać się do tego, że zachwalany uprzednio system nie zdał całkowicie egzaminu. W dobie gdy coraz częściej słychać głosy domagające się likwidacji bądź też zredukowania ilości zjednoczeń, zarządzający nimi nie chcą dokładać jeszcze jednego argumentu przeciwko sobie.

WOG pozbawiły zakłady samodzielności i samorządności. Wszystkie decyzje podejmowane są w „centrali" często nawet znacznie oddalonej od zakładu jak np. ma to miejsce w przypadku Zielonej Góry gdzie centrala znajduje się w Poznaniu. Brak więzi powoduje, że decyzje podjęte przez centralę nie mają pokrycia w realiach danego zakładu a do tego dochodzą jeszcze lokalne antagonizmy poszczególnych załóg. „Mała reforma", wprowadzana aktualnie w życie, dopuszcza różnorodność form organizacyjnych przedsiębiorstw oraz stawia na pierwszym miejscu rentowność wszystkich jednostek gospodarczych. **Pora więc odrzucić złudzenia i poszukać jak najszybciej innych dróg, zapewniających samofinansowanie się dawnej Łódzkiej Drukarni Dziełowej i podobnych jej zakładów. To konieczność i gwarancja zarazem dalszego rozwoju poligrafii.**

MAREK SZUKALAK

MAREK SZUKALAK jest drukarzem i bibliofilem

OD REDAKCJI: 27 IV 1981 r. podjęto decyzję o wyłączeniu z kombinatu ŁZG.

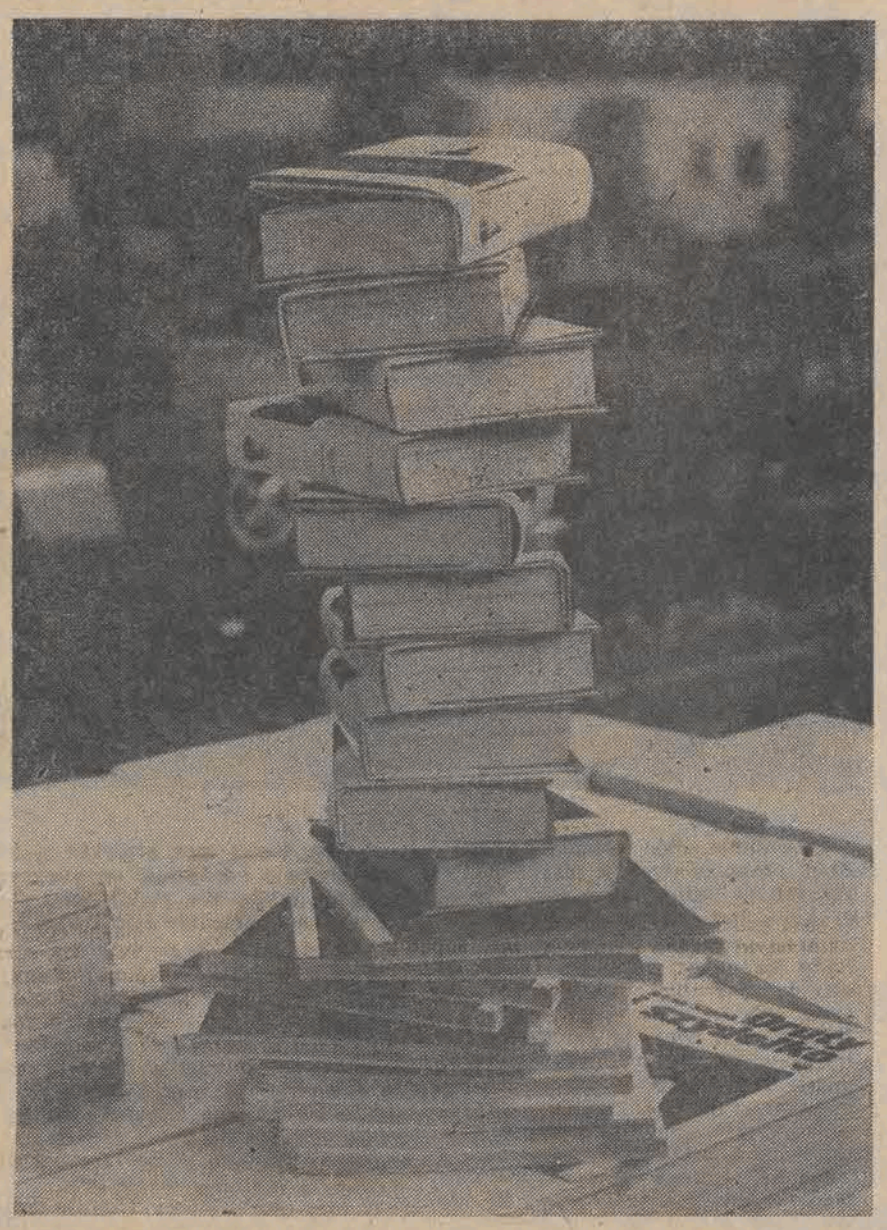

Foto: R. Łucyszyn

ARCHEOLOGIA

POŻYTKI Z BIUROKRACJI

Cóż można zawdzięczać biurokracji? Okazuje się, że bardzo wiele. Gdyby nie zamiłowanie do biurokracji w Zakonie Krzyżackim, niewiele wiedzielibyśmy dziś o przeszłości w tamtych czasach.

Dr **Andrzej Nowakowski,** archeolog z Zakładu Archeologii Polski Środkowej Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN badając uzbrojenie wojsk krzyżackich w Prusach w XIV i na początku XV w. (dodajmy w tym miejscu, że jego książka na ten temat jest pierwszą publikacją naukową w kraju)* z obowiązku badacza sięgał do źródeł pisanych, do zachowanych dokumentów ilustrujących przebieg dnia codziennego. Z owych zapisków, z owych notatek czynionych przez skrybów zakonnych dzień po dniu wyłania się obraz codziennego życia krzyżackich rycerzy, daleki od naszych wyobrażeń o surowym bycie zakonników.

Wiadomości o życiu codziennym Krzyżaków zawdzięczamy ich pedantycznej skrupulatności. Statuty zakonne nakazywały pieczołowicie przechowywać wszelkie dokumenty i rachunki. Zgubienie dokumentacji groziło trzecim stopniem kary, równoznacznej z karą za zabicie chrześcijanina.

Biurokracja i pedanteria wiązała się również z pewną centralizacją władzy krzyżackiej. Powinności komturów obejmowały także sprawozdawczość dla wielkiego mistrza. W przypadku zmiany wójta czy komtura dokonywano inwentaryzacji dóbr, za które był on odpowiedzialny. Stąd też zachowały się księgi rachunków Wielkiego Skarbnika.

Wynika z nich niezbicie, iż statuty funkcjonowały wówczas sobie, a życie pisało całkiem inny regulamin, iż między literą prawa a codzienną praktyką istniały poważne rozbieżności.

Rachunki wskazują np., że wielki mistrz Ulryk von Jungingen prowadził bardzo wystawne życie. W „Księdze wydatków malborskiego komtura domowego" znajdziemy np. informację, iż dla wielkiego mistrza wydano 51 grzywien za wykonanie 11 srebrnych kielichów, a 25 grzywien na pozłocenie tych pucharów, z których dwa pozłocono całkowicie. Rachunki wskazują również, że mistrz zakupił jednego roku aż 10 bobrowych czapek i sobole futra. Szył też szaty z tkanin sprowadzanych z zagranicy w kolorach żółtych, zielonych, czarnych i niebieskich, podczas gdy reguła zakonu nakazywała ubierać się w barwy białe lub brunatne. Rachunek z dnia 4 maja 1408 r. wskazuje, iż wydano 15 grzywien na dwie sztuki atłasu dla wielkiego mistrza. Zakonnik zafundował też sobie po objęciu urzędu srebrną rękojeść do miecza za ogromną sumę odpowiadającą wartości 1/4 kg srebra. Kazał też pozłocić gałkę od namiotu, w który sypiał podczas polowych wypraw.

W 1420 r. inny wielki mistrz Michał Küchmeister wydał 1/2 grzywny na parę butów na korku. Jak kosztowne musiały być to buty, skoro za pół grzywny można było kupić napierśnik rycerski.

Zakonnicy nie stronili też od uciech stołu i podniebienia. W 1416 r. wydano 3 wiardunki i 1 solid za piwo sprowadzone z miasta i na tragarza, który przywiózł trzy beczki wina do jadalni mistrza.

Rachunki demaskują też inne grzeszki Krzyżaków. Nieobce im były całkiem świeckie uciechy i intrygi do jakich się posuwali. Już w owym czasie mężów ładnych kobiet wysyłano w podróże służbowe, a dom publiczny w Malborku cieszył się liczną klientelą. Zakonnicy pili więc, kochali się i bawili na turniejach rycerskich. Nic więc dziwnego, iż nie dochowali się ani jednego świętego. Jak na zakon i średniowiecze rzadko też modlono się i rozmyślano o wzniosłych sprawach duszy i nieba. O świeckim charakterze zakonu świadczy również fakt, że w XV w. do Krzyżaków zwracano się przez całkiem świecką formę „pan", podczas gdy w XIV w. stosowano jeszcze zwrot „brat". Z pewnością był to również zakon, w którym nie ceniono walorów intelektu. Na naukę pisania i czytania potrzebne były zakonnikom specjalne zezwolenia władz klasztoru, a pół roku zostawiano im na nauczenie się modlitw „Ojcze nasz" i „Wierzę w Boga" po łacinie. Stąd wniosek, iż język ten był obcy wstępującym do zakonu.

Zakon krzyżacki można określić jako wojskowo-urzędniczy, w którym każdy zakonnik miał przydzielone urzędnicze zadanie. Znakomita organizacja sprawiała, iż zadań tych starczyło dla wszystkich, a wykonanie ich egzekwowano bardzo surowo.

Przeciętny Krzyżak był Niemcem lub poddanym pochodzącym z Rzeszy. Zazwyczaj był on młodszym synem szlachcica, któremu nadano szlachectwo. Nie wywodził się więc z arystokracji, nie miał też prawa do dziedziczenia majątku. Wstąpienie do Zakonu było dlań życiową szansą.

Ciekawe, iż historycy mający zwykle tyle pretensji do Sienkiewicza, tym razem chwalą go za wiernie oddaną atmosferę i realia w „Krzyżakach". Być może, że wielki pisarz korzystał z tych tak dobrze zachowanych krzyżackich dokumentów. Nie należy natomiast uczyć się historii tego okresu, patrząc na „Bitwę pod Grunwaldem". Mistrz Matejko tak dokumentnie pomieszał tu szczegóły z różnych epok, iż uważny widz wypatrzy nawet wśród licznych akcesoriów berło rektora uniwersytetu.

Znajomość zagadnień Zakonu Krzyżackiego jest bardzo duża. Jednocześnie jednak, o paradoksie, znikoma. W Europie dysponujemy dziś przeszło 5000 pozycjami z literatury na temat Zakonu. Pozycje te omawiają jednak głównie wielkie wojny, struktury prawne, czy stosunek zakonu do władz polskich. Byt codzienny i szczegóły z nim związane schodziły na drugi plan wobec zagadnień wielkiej polityki. Dzieje średniowiecznej Europy poznaje się m. in. poprzez badania uzbrojenia. „Broń bowiem nosi w sobie częstokroć spory „ładunek ideologiczny", spełniając funkcje kulturowe, obrzędowe czy będąc niekiedy symbolem określonych idei. Nierzadko łączyła się także ze sztuką, będąc bądź jej bezpośrednim wytworem, bądź to przedmiotem zainteresowań" — pisze we wstępie do swojej pracy dr A. Nowakowski. Przypomina też profesora Andrzeja Nadolskiego, który pisał, iż „nietrudno zaryzykować twierdzenie, że w militarnych sprawach średniowiecza odbija się jak w zwierciadle całe oblicze epoki".

Specjalizacja łódzkiego Zakładu Archeologii PAN w zakresie historii uzbrojenia i wojskowości m. in. zaważyła na powierzeniu pracownikom zakładu badań na polach Grunwaldu. Efektem tych prac jest wspomniana już książka Andrzeja Nowakowskiego. Przede wszystkim jednak coraz więcej szczegółów dotyczących samej bitwy. Pozwolą one skorygować dotychczas rozpowszechnione hipotezy i spojrzeć na wielką bitwę średniowiecza, zakon krzyżacki i Polaków bez zafałszowań i niepotrzebnych złudzeń.

MAŁGORZATA GOLICKA

*) Andrzej Nowakowski „Uzbrojenie wojsk krzyżackich w Prusach w XIV w. i na początku XV w." ŁTN 1980.

„Życie kulturalne miasta, jego ranga i pozycja drugiego co do wielkości miasta w kraju, stolicy włókiennictwa, poważnego ośrodka naukowego, szkół akademickich, a wśród nich wyższych uczelni typu artystycznego: muzycznej, plastycznej i filmowej, nasuwają uzasadniony wniosek, że Łódź powinna mieć odrębny, własny, godny miasta i jego dalszego rozwoju gmach filharmonii.

Budowa nowego gmachu wydaje się być tym bardziej uzasadniona, że obecnie eksploatowany budynek przy ul. Narutowicza budzi poważne zastrzeżenia co do dalszych swych możliwości użytkowania, o czym świadczy fakt, że z polecenia władz budowlanych część piętra jest już niedostępna do użytku publiczności".

To jest. A czego nie ma?

— Nie ma żadnej decyzji co do działań zapewniających możliwość dalszej pracy artystycznej około 190 członkom orkiestry i chóru filharmonii łódzkiej.

— Nie ma obowiązującej decyzji o lokalizacji nowego gmachu filharmonii, ani o rozpoczęciu jego budowy.

Jest jednak projekt architektoniczny centrum tak zaawansowany, że w oparciu o niego można przygotować założenia techniczno-ekonomiczne budynku filharmonii do lutego 1982 roku, zaś do jesieni tego roku opracować projekt techniczny stanu zerowego.

Prof. Straszewicz uznał w swojej ocenie prawidłowość tego projektu z punktu widzenia jego akustycznych

decyzję o budowie nowego gmachu filharmonii, w oparciu o projekt zaakceptowany sześć lat temu i to w tym miejscu, do którego został dostosowany. Jest to jedyna możliwość uniknięcia zmarnowania następnej sumy pieniędzy i największego przyśpieszenia rozpoczęcia budowy. Zgodnie z posiadanymi przeze mnie, potwierdzonymi przez projektantów informacjami, **koszt budowy z uwzględnieniem obecnego wzrostu cen materiałów budowlanych i robocizny powinien zmieścić się w sumie do 800 milionów złotych.**

Powstałby gmach, który byłby dumą miasta, który ułatwiałby organizację w Łodzi występów największych muzyków krajowych i zagranicznych, który byłby magnesem koncentrującym zainteresowania

Wypowiedziami **Jerzego Jankowskiego i Jerzego Lanzendoerfera** rozpoczynamy druk wystąpień uczestników sesji RN m. Łodzi, poświęconej sprawom kultury, jaka odbyła się 27 kwietnia.

Uzupełniamy te głosy komentarzem **Jerzego Wilmańskiego,** wnoszącym ton raczej minorowy.

Przy okazji — przypominamy, że przed sesją wypowiedział się w tych sprawach na naszych łamach **Jerzy Katarasiński** („W środku bermudzkiego trójkąta"), który szansę na rozwiązanie najpilniejszych problemów kultury widzi w postulowanym przez siebie (z prośbą o poparcie przez łódzki zespół posłów) **rządowym programie rozwoju i modernizacji kultury w Łodzi.**

Zachęcamy do dyskusji.

gdzie mają grać?

Jerzy Lanzendoerfer

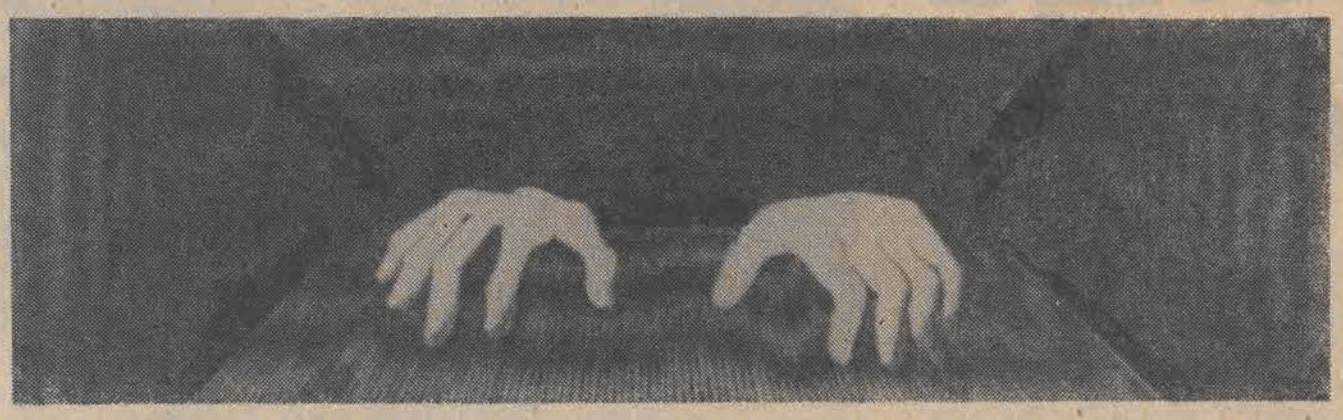

Pozwoliłem sobie wrócić do stwierdzeń umieszczonych w piśmie Klubu Miłośników Filharmonii przy Towarzystwie Przyjaciół Łodzi, skierowanym do przewodniczącego Prezydium Rady Narodowej miasta Łodzi w marcu... 1966 roku. Tak, proszę państwa, nie omyliłem się: w marcu 1966 roku. A więc już wówczas działający społecznie mieszkańcy naszego miasta zwrócili się do władzy ich reprezentującej o rozwiązanie kwestii podstawowej wagi dla rozwoju kulturalnego Łodzi.

Czy od tamtego czasu nic nie zrobiono w tej sprawie? Aż tak źle nie jest, choć efekty tej działalności nie przynoszą chluby władzom naszego miasta. A więc zostały wykonane dwa projekty budynku filharmonii. Koszt tych opracowań wyniósł, o ile mi wiadomo, około ośmiu milionów złotych. Nie chcę używać ostrych słów, mogę tylko stwierdzić, że można potraktować je jako opracowania studyjne, obecnie niemożliwe do realizacji. Około sześć lat temu został ponadto ogłoszony konkurs na projekt urbanistyczny centrum miasta, a konkretnie kwartału pomiędzy ulicami Kilińskiego, Nawrot, Sienkiewicza i Alejami Mickiewicza. Pierwsze miejsce uzyskał projekt inż. Millo. W projekcie przewidziano budowę nowego gmachu filharmonii bez kosztownego, gruntownego, wiele lat trwającego remontu. Ekspertyza budowlana stwierdza, że obecny gmach powinien być opuszczony z końcem bieżącego roku.

walorów. Koszt tego projektu stałby się kolejnym funduszem wyrzuconym w błoto, gdyby nie została utrzymana opisana uprzednio lokalizacja budynku.

A jednak **mówi się o nowej lokalizacji**, znacznie gorszej od dotychczasowej, bardziej odległej od centrum miasta, które jest w chwili obecnej i pozostałoby w dalszym ciągu pustynią kulturalną. **Mówi się o rozpisaniu nowego konkursu na budynek filharmonii!** Takie decyzje spowodowałyby odsunięcie rozpoczęcia budowy o następne długie lata.

W tym stanie rzeczy istnieje groźne, realne niebezpieczeństwo, że **Łódź i tak niezbyt zasobna w instytucje kształtujące kulturę jej mieszkańców, straci wysokiej klasy zespół filharmoników, a jego członkowie — miejsce pracy.** Nie mogę się powstrzymać od osobistej refleksji: jestem łodzianinem z urodzenia i zamieszkania i boli mnie, że w naszej socjalistycznej rzeczywistości pozostaje zgodne z obecnym stanem faktycznym ostatnie stwierdzenie w zdaniu, które czytałem w przedwojennych podręcznikach szkolnych: „Łódź, drugie co do wielkości miasto w Polsce, o rozwiniętym przemyśle włókienniczym, bardzo zaniedbane pod względem socjalnym i kulturalnym".

Jakie można znaleźć wyjście z tej tragicznej, spowodowanej złym działaniem władz miasta, sytuacji? Odpowiedź jest jednoznaczna i niewątpliwa: **należy jak najszybciej podjąć**

mieszkańców miasta, pomagając rozwijać ich muzyczne zamiłowania, podnosząc poziom ich kultury.

A co w międzyczasie robiliby nasi bezdomni filharmonicy? — Jestem po wstępnych rozmowach z ekspertami budowlanymi. Przystępują oni do oceny, na jaki okres, przez zastosowanie prostych, możliwie tanich zabiegów, można przedłużyć używalność starego gmachu filharmonii. Pierwsze uzyskane informacje pozwalają mieć nadzieję, że takie „awaryjne" przedłużenie jest możliwe. Jestem wdzięczny prezydentowi Łodzi, że przyjął z pełną aprobatą propozycję wykonania ekspertyzy.

Staram się być optymistą, ale trudno mi uwierzyć, że zdołamy tak szybko zbudować nowy gmach filharmonii, że artyści będą mogli przeprowadzić się do niego bezpośrednio z budynku na ulicy Narutowicza. Grozi im okres tułaczki po wypożyczonych, zastępczych lokalach. Od decyzji władz miasta zależy, jak długo będzie on trwał. Im będzie krótszy, tym większa jest szansa, że Łódź nie straci zespołu artystów najwyższej klasy, radujących melomanów cotygodniowymi koncertami i przynoszących sławę miastu w czasie występów zagranicznych.

I wreszcie — co zrobiliśmy my, reprezentowany na dzisiejszym posiedzeniu przeze mnie Społeczny Komitet Budowy Filharmonii Łódzkiej? Działamy krótko. Komitet powstał w dniu 10 marca, gdy przekonaliśmy się, jakie jest społeczne zainteresowanie mieszkańców naszego miasta losami filharmonii łódzkiej. Przecież **w ciągu tygodnia, bez żadnej agitacji czy innych zabiegów około 600 obywateli miasta złożyło podpisy pod apelem o ratowanie filharmoników łódzkich,** nieobniżanie poziomu kulturalnego miasta, o decyzję rozpoczęcia budowy nowego gmachu filharmonii. Zainteresowanie społeczeństwa jest większe, niż się spodziewaliśmy na początku naszej działalności. Współdziałają z nami i deklarują pomoc w każdym rodzaju działania studenci Uniwersytetu Łódzkiego i Akademii Medycznej. Mamy pisma z poparciem naszych akcji i deklaracjami współpracy:

— Rady Uczelnianej Socjalistycznego Związku Studentów Polskich Uniwerystetu Łódzkiego.

— Pracowników Zakładu Estetyki Instytutu Filologii Uniwersytetu łódzkiego

— Cechu Rzemiosł Spożywczych

— Senatu Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej.

Na otwierane przy pomocy Łódzkiego Towarzystwa Muzycznego konto są już wpłacane, względnie obowiązująco zadeklarowane, sumy przekraczające półtora miliona złotych. Zgłaszają się ludzie zobowiązujący się do daleko idącej pomocy przy budowie nowego budynku. Niech będzie przykładem zobowiązanie inżyniera **Ireneusza Sodomińskiego,** nieodpłatnego wykonania projektu instalacji elektrycznej budynku i nadzorowania jego realizacji. Członkowie chóru i orkiestry filharmonii zobowiązali się do przekazywania na rzecz funduszu budowy gmachu filharmonii jednego procentu swoich zarobków do chwili zakończenia inwestycji. Kwartet i kwintet orkiestry zobowiązał się do co najmniej dwóch koncertów w ciągu roku na ten cel. **Mamy wstępne zobowiązania znakomitych artystów polskich: Wandy Wiłkomirskiej, Henryka Czyża, Kazimierza Wiłkomirskiego, Jacka Kasprzyka, Piotra Palecznego,** którzy zadeklarowali współudział w koncertach na rzecz budowy filharmonii. To są fakty, które pozwalają w naszych trudnych, pełnych napięć czasach odzyskiwać wiarę w ludzi, odzyskiwać umiejętność powrotu do optymistycznego spojrzenia w przyszłość.

Panie Przewodniczący, Wysoka Rado! Nie straćmy tej ostatniej może okazji ratowania wspaniałej placówki kulturalnej naszego miasta, stworzenie ośrodka, za który będą wam wdzięczni potomni i który będzie powodem do dumy wszystkich mieszkańców miasta.

Prof. dr hab. inż. mech. JERZY LANZENDOERFER jest pracownikiem naukowym Instytutu Pojazdów Politechniki Łódzkiej.

Jerzy Jankowski

obraz miasta

Pragnę przedstawić problem, który interesuje wszystkich łodzian i ma ogromny wpływ na wychowanie społeczeństwa w poczuciu ładu, porządku i estetyki. Problemem tym jest zewnętrzny wygląd miasta.

Łódź, jak każde miasto, składa się z części historycznej i nowych osiedli otaczających zabytkowe centrum. Jesteśmy miastem młodym, stąd większość obiektów w centrum to budynki z lat 1850—1939. Do niedawna jeszcze funkcjonowało przekonanie, że okres ten był okresem negatywnym w twórczości architektonicznej, a budynki z tego okresu to rudery, które trzeba czym prędzej wyburzyć, aby stworzyć warunki dla rozwoju nowoczesnego budownictwa. Dopiero w ostatnich latach podjęto próbę obiektywnej oceny dzieł tej architektury.

Duży wpływ na zmianę ocen i szacunku dla tej eklektycznej architektury miały tragiczne zniszczenia wojenne. **Łódź pozostała jedynym miastem w Polsce i jednym z nielicznych w Europie, posiadającym zwarte zespoły budownictwa XIX-wiecznego, stanowiącego o niepowtarzalnym charakterze miasta i jego autentycznych walorach zabytkowych.**

Pragnę przypomnieć, że już w latach 1970—72 podjęte zostały prace nad ochroną zabytków Łodzi, uwieńczone uchwałą Prezydium RN z 1972 roku w sprawie programu ochrony zabytków.

W ślad za tą uchwałą nie poszły jednak żadne znaczące działania konserwatorskie, a wiele działań tak zwanych modernizacyjnych, prowadzonych w szczególności przez handel, przyczyniło się do nieodwracalnych zniszczeń substancji zabytkowej.

Przykłady niszczenia elewacji, wnętrz handlowych, bram, witryn i wyrobów rzemiosła artystycznego są powszechnie znane. Wypada tu przytoczyć kilka z ostatniego dziesięciolecia przykładów zniszczenia w ten sposób wnętrz sklepu Wedla przy ul. Piotrkowskiej 67, apteki w tym samym budynku, elewacji i wnętrza apteki przy ul. Piotrkowskiej 29 i wielu innych.

Podnieść w tym miejscu należy również sprawę, o której rzadko się mówi, sprawę łódzkich cmentarzy. Wiele z historii Łodzi zapisane jest

JERZY WILMAŃSKI

burzliwa dyskusja i co z niej wynika?

Zacznę od przypomnienia. W roku 1969 odbyła się w Łodzi sesja RN, poświęcona problemom kultury. Nie obfitowała ona w żadne doniosłe uchwały, ale jest warta przypomnienia, ponieważ musiało minąć aż 11 lat, aby sesję na podobny temat zwołano powtórnie. Odbyła się ona dopiero w ubiegły poniedziałek.

Mogą czytelnicy zapytać: co robili w tej sprawie radni, co robiła Komisja Kultury i Nauki RN. Otóż, radni w ciągu minionych lat wielokrotnie zgłaszali problemy kultury na porządek sesji. Niestety, ponieważ nie chodziło tu ani o ŁKS, ani o futbol — ówczesny przewodniczący RN m. Łodzi nie wykazał wobec tych propozycji większego zainteresowania.

Dopiero obecnie, m. in. dzięki obecnemu przewodniczącemu RN, prof. Mieczysławowi Serwińskiemu, wniesiono problemy kultury na obrady sesji plenarnej.

Nic więc dziwnego, że po 11 latach milczenia dyskusja była burzliwa i gorąca. Najbardziej letnie i ostrożne były tylko wystąpienia oficjalne, np. wiceprezydenta Polita, który stwierdził, m. in. że „same środowiska nie potrafiły wywrzeć wpływu na władze administracyjne w sprawach kultury".

Stwierdzenie to co najmniej dziwne w ustach resortowego urzędnika oraz w świetle wypowiedzi przedstawicieli środowisk kulturalnych. Przecież jest publiczną tajemnicą, że wiele bardzo cennych inicjatyw umierało śmiercią nienaturalną na skutek indolencji oficjalnego mecenasa.

Co tu dużo mówić. Od jakiegoś czasu ze zdumieniem patrzę na działalność Wydziału Kultury, który tak pięknie rządzi łódzką kulturą, że z miasta odeszli K. Dejmek, H. Czyż, R. Kłosowski, że odchodzi z filharmonii J. Kasprzyk, że wciąż jest niejasna sytuacja Teatru Wielkiego, że rozwiązano prężne Stowarzyszenie Muzyki Estradowej oraz... I tu trzeba nabrać oddechu.

Arbitralne decyzje utytułowanego urzędnika od kultury likwidują istniejący od 30 lat Teatr Ziemi Łódzkiej oraz zamierzają unicestwić teatr „Pinokio", który przez ostatnie dwa sezony, dzięki dyr. Jerzemu Michalakowi, wydźwignął się na naprawdę wysoki poziom. Jerzy Michalak — wychowanek i asystent Andrzeja Stopki, jeden z najciekawszych realizatorów w dziedzinie teatru lalkowego, straci warsztat pracy, a Łódź straci jeszcze jeden teatr.

Myślę, że w tej sytuacji sesja RN, poświęcona kulturze, była nie tyle potrzebna, co wręcz konieczna. Choćby po to, aby potrząsnąć mecenasami od siedmiu boleści.

Łódzka kultura, czy lepiej — kultura w Łodzi, boryka się z ogromem problemów naprawdę istotnych i naprawdę trudnych, czasem wręcz nie do rozwiązania w sposób zadowalający wszystkie środowiska. Czyż trzeba nam więc do kompletu jeszcze problemów z gromadką niekompetentnych, apodyktycznych urzędników?

Parę miesięcy temu opublikowałem w warszawskich „Szpilkach" wiersz satyryczny, którego nikt nie chciał wydrukować w Łodzi. Zaczynał się tak:

„My magistry i docenty
mianowane
Od kultury referenty
wszystkim znane
My kulturę zbudujemy

na cmentarzach: starym katolickim, ewangelickim i żydowskim. Niestety, niszczeją tam liczne zabytki sztuki rzeźbiarskiej, kowalskiej i kamieniarskiej, dzieła na skalę nie tylko łódzką czy polską, lecz europejską. Giną więc nieustannie i bezpowrotnie wartości, których cenę zaczęliśmy niedawno rozumieć, a nie potrafimy ustrzec przed bezmyślnością lub złą wolą.

Drugą częścią miasta są nowe osiedla. Z żenującej nędzy estetycznej tej architektury zdajemy sobie wszyscy sprawę. Świadomi są tego również autorzy tego budownictwa, podejmując na przykład próby malowania smutnych bloków w poziome lub pionowe pasy. Przypomina to Szwejka handel psami, kiedy kundla próbował przemalować na angielskiego doga, ale kundel pozostał tylko kundlem.

Nikt, ani w stanie projektowym, ani w realizacji, ani w eksploatacji nie troszczy się o to, aby podnieść stan estetyczny budownictwa nowych osiedli. Środowisko plastyczne jest od tych spraw zupełnie odsunięte.

Wymaga również omówienia sprawa tak zwanej modernizacji centrum miasta. Robi bowiem ona wrażenie zupełnie nie przemyślanych, nie przygotowanych, robionych wycinkowo działań, bez planu ogólnego.

Przykładem może być teren ograniczony al. Mickiewicza i ul. Piotrkowską, Sienkiewicza i Roosevelta, gdzie na małej przestrzeni tez możliwości stworzenia właściwego zaplecza wciśnięto zbyt wiele obiektów, budzących dodatkowo wątpliwości co do ich funkcji. Exemplum orcjekt restauracji na 1.200 miejsc z parusetosobową załogą. Kto zapełni te miejsca? Kto zechce korzystać z takiej hali konsumpcyjnej?

Nieliczenie się z odczuciami człowieka, antyhumanitarne traktowanie użytkowników, szczególnie drastycznie obserwujemy w biurowcu „Społem" obok „Centralu" gdzie projektant usytuował okna powyżej linii wzroku i pracujący tam ludzie żyją jak w piwnicy, widząc przez okna tylko skrawek nieba.

Podejmowane w ramach modernizacji wyburzenia wymagają niezbędnie wcześniejszego przygotowania projektów doraźnego zagospodarowania powstałych szczerb w substancji miasta. I znów odnosi się wrażenie, że odpowiedzialni za to ludzie dowiadują się o dokonanych wyburzeniach dopiero po fakcie. Przykładem trasa W-Z, na której odsłonięte wyburzeniami kośiawe podwórka próbuje się ratować emulsyjną farbą i kolorowymi trójkącikami. Przykładem centrum miasta — plac po wyburzeniach na rogu ul. A. Struga i ul. Piotrkowskiej, gdzie od kilku miesięcy nieustannie przestawia się kiosk „Ruchu", jakby nikt nie wiedział, gdzie go postawić, a ostatnio plac ten udekorowany został jarmarcznymi straganami, co ma chyba świadczyć o prowincjonalności naszego miasta.

Jeśli do tego dodamy dezorganizację informacji, wiele reklam, szyldów i napisów dawno nieaktualnych, będziemy mieli smutny obraz stanu wizualnego naszego miasta.

Podany powyżej obraz stanu aktualnego wyglądu Łodzi świadczy o bezt rosce i braku poczucia odpowiedzialności ludzi, którzy z urzędu powinni troszczyć się o te sprawy. Są nimi w pierwszym rzędzie naczelny architekt i główny plastyk miasta. Najwyższa chyba pora aby na stanowiska te powołać ludzi których poglądy, kryteria ocen i zaangażowanie pozwolą zmienić ten fatalny stan.

Od wyglądu bowiem miasta, od estetyki wnętrz handlowych, użyteczności publicznej, miejsc pracy, szkół, zależy w dużej mierze wychowanie estetyczne społeczeństwa.

Decyzje we wszystkich tych sprawach zależne były do tej pory wyłącznie od Wydziału Architektury. W tej sytuacji **niezbędne jest powołanie przy urzędzie prezydenta miasta — rady do spraw plastyki, która będzie z jednej strony ciałem doradczym i programowym w sprawach kultury plastycznej, a z drugiej strony będzie zabezpieczała dla Pana Prezydenta plastyczna ocenę projektów poszczególnych wydziałów i biur w zakresie urbanistyki architektury, handlu, szkolnictwa, rekreacji i innych.** Jest również konieczne podniesienie rangi konserwatora zabytków miasta Łodzi. Powinien być to oddzielny Wydział Konserwacji Zabytków, który na równych prawach z innymi wydziałami obronić będzie zabytki miasta. Konieczne jest nadto rozszerzenie zakresu obowiązków Wydziału Kultury o sprawy estetyki miasta i w związku z tym usytuowanie biura Głównego Plastyka przy Wydziale Kultury.

Ostatnie dziesięciolecie przyniosło pogorszenie stanu estetyki miasta i w tej sytuacji pragnę postulować podjęcie przez Wysoką Radę uchwały o podniesieniu stanu estetyki miasta ze szczególnym otoczeniem opieką zabytkowej części Łodzi. W ślad za taką uchwałą środowisko plastyczne będzie mogło wystąpić do Pana Prezydenta ze szczegółowymi propozycjami doraźnego i długofalowego programu poprawy stanu estetycznego naszego miasta.

JERZY JANKOWSKI jest artystą plastykiem, I sekretarzem POP przy Okręgu Łódzkim ZPAP.

Foto: N. Janczak

w mieście Łodzi
Ktoś się pyta co umiemy
Nic nie szkodzi
że umiemy my niewiele
albo nic
My robimy coraz śmielej
wielki pic".

I ten właśnie wielki pic dominował w zarządzaniu kulturą w Łodzi.

Bo przecież minął już rok 1980, w którym to roku miała być zakończona budowa nowej Filharmonii. Nowej nie ma — a stara się wali.

Minął rok 1980, w którym to roku miało być oddane do użytku nowe Muzeum Sztuki. Nowego gmachu nie ma — a stary się wali.

Minął rok 1980, kiedy to na Piotrkowskiej miało stanąć parę nowych kin. Nowych kin nie ma, a stare się walą.

Te piękne wizje biorę z uchwały KŁ PZPR sprzed lat prawie dziesięciu. Uchwałę tę także możemy między bajki włożyć. A rzeczywistość skrzeczy.

Aby zbudować nowe gmachy Filharmonii i Muzeum Sztuki potrzeba co najmniej 2 miliardów złotych. Mówiąc teoretycznie, bowiem z pieniędzy budynków się nie sklei, potrzebne są materiały, przedsiębiorstwa, czyli moce przerobowe. A te potrzebne są na budownictwo mieszkaniowe

Nawet 10 miliardów złotych nie załata nam dziur w łódzkiej bazie kultury, ale to rozważania akademickie, bowiem nie otrzymamy nawet jednej dziesiątej tej sumy. W dyskusji na sesji dominował ton goryczy i trudno się temu dziwić. Żądania i postulaty przedstawicieli różnych środowisk były żądaniami słusznymi i wcale nie wygórowanymi. Ale przecież wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że ta wielogodzinna dyskusja była projekcją wyłącznie marzenia.

W kategoriach realistycznych mówić możemy tylko o tym, czego nie stracić, nie zlikwidować, nie zniszczyć. Utrzymać stan posiadania — ubożuchny, ale realny. A marzenia zapewne zawrzemy w kolejnej uchwale, którą sobie przypomnimy za kolejnych 11 lat.

TOMASZ SOLDENHOFF

„OPERETKA" PO CZESKU

(KORESPONDENCJA WŁASNA)

Kwiecień kojarzy mi się z Gombrowiczem. Tak, z Gombrowiczem wchodzącym w porze kwitnących kasztanów na nasze sceny.

Kwiecień 1974, warszawski Teatr Dramatyczny. **Prapremiera polska „Ślubu" w reżyserii Jerzego Jarockiego.**

Kwiecień 1975, Łódź, Teatr Nowy. **Prapremiera polska „Operetki". Inscenizacja — Kazimierz Dejmek.**

Wkrótce potem oba dramaty obiegły szereg innych scen. Nie zaszkodziło to jednak powodzeniu prapremier. Łódzką „Operetkę" grano cztery lata i można jedynie żałować, że nie zdyskontowano właściwie tego — popartego na domiar festiwalowymi laurami i opiniami krytyki — sukcesu. A można — i trzeba było — pokazać tę „Operetkę" na świecie, tam zwłaszcza, gdzie twórczość autora „Kosmosu" jest dużo lepiej znana, jak we Francji i RFN — krajach, w których — po światowej prapremierze we Włoszech w 1969 roku — powstały najgłośniejsze inscenizacje tego dramatu.

Ostatnio co prawda moda na Gombrowicza w teatrze nieco opadła, mniej słychać o nowych premierach jego sztuk. **Zapowiadał „Operetkę" na jubileuszowy sezon krakowski Teatr Stary, w reżyserii Jerzego Grzegorzewskiego. W łódzkim Teatrze im. Jaracza Mikołaj Grabowski szykuje inscenizację wg. powieści „Trans-Atlantyk". Ostatnio dotarła wiadomość z Zielonej Góry, gdzie od reżyserii „Iwony, księżniczki Burgunda" rozpoczęła swój powrót — po kilkuletniej przymusowej nieobecności na scenie — Halina Mikołajska.** A mało kto dziś pamięta, że to jej właśnie reżyserii zawdzięcza teatr polski prapremierę tej sztuki — pierwsze pojawienie się Gombrowicza na naszej scenie przed 24 laty (w Teatrze Dramatycznym).

Natomiast zupełna już cisza otacza starania wydawców o pełne udostępnienie krajowym czytelnikom dzieł Gombrowicza. Wprawdzie biblioteki likwidują działy „prohibitów", a działalność niezależnych oficyn przestaje być tajemnicą poliszynela, ale przez długie lata niedostatek bezpośrednich kontaktów z Gombrowiczowskim kanonem musiały — siłą rzeczy — rekompensować wieści o nowych wydaniach i premierach za granicą. Każdy sukces Gombrowicza tam witany był przez polskich sympatyków i badaczy twórczości tego autora z taką satysfakcją, jakby działo się to u nas.

Dotyczy to jego recepcji na Zachodzie, ale bardziej budujące były i są próby wprowadzania sztuk Gombrowicza na deski teatrów w krajach socjalistycznych. Pierwszą, która przetarła tam sobie ścieżki była **„Iwona, księżniczka Burgunda".** Wiadomo ni, że grana była m in. dwukrotnie w Czechosłowacji, w początkach lat 70. w Brnie i Ustí nad Łabą (co prawda bardzo krótko). **„Operetkę"** pierwsi — nie licząc Polaków — wystawili Węgrzy. Minęło parę lat i dopiero w 1980 roku, także zresztą w kwietniu, sztukę tę wystawił — pod tytułem **„Lehka muza"** teatr czechosłowacki.

Jest to zasługą działającego w Prostejovie, niedaleko Brna, Hanackiego Divadla (od Hany — doliny na Morawach). Liczy ono sobie zaledwie 6 lat i dopiero w ubiegłym roku powitane zostało w gronie teatrów zawodowych, wchodząc — obok znanego łódzkim widzom ze współpracy z Teatrem 77 Divadla na Provazku — w skład Państwowego Teatru w Brnie. „Operetka" była pierwszą premierą świeżo sprofesjonalizowanego zespołu.

Była też — trzeba to podkreślić — przedsięwzięciem trudnym i ryzykownym. Gombrowicz jest w CSRS autorem praktycznie nieznanym. Dwie inscenizacje „Iwony" (ta w Ustí miała zaledwie 8 przedstawień) skromne urywki „Ferdydurke" drukowane w niskonakładowej „Literaturze na świecie" — to za mało nawet na tzw. skromny początek. W tych warunkach porywanie się na „Operetkę" mogło zakrawać na donkiszoterię. Wiąże się to jeszcze z brakiem w tradycji literatury czeskiej jakiejś analogii do tego, co zamyślił Gombrowicz wywodząc filozofię dramatu z przeciwstawienia Stroju i Nagości. Dla Czechów bardziej instruktywny — jako porównanie — był już „Krawiec" Mrożka.

Szczęśliwie twórcy czeskiej prapremiery mieli do dyspozycji nie tylko pełny tekst dramatu, przełożony przez wytrawnego tłumacza, znawcę i zasłużonego popularyzatora polskiej kultury **Jaroslava Simonidesa.** Znali opisy inscenizacji polskich i budapeszteńskiej, dzięki J. Simonidesowi czytali również wydane w Paryżu „Rozmowy Gombrowicza z Dominikiem De Roux", co przybliżyło im poglądy autora. Ale ze sztuk Gombrowicza na scenie widzieli tylko „Iwonę", wykonywaną przed 5 laty we Wrocławiu przez teatr z Nancy. Nie jest to więc w sumie wiele.

Sięgnięcie po „Operetkę" było aktem pewnej odwagi, także dlatego, że musiało napotkać — i napotkało — opory władz kulturalnych.

Wreszcie ostatnia trudność — last but not least — to skromne warunki teatru. Mała sala i niewielki zespół, z góry przekreśliły możliwość wystawienia sztuki z całym operetkowym sztafażem, który skądinąd zaleca inscenizatorom sam autor, zwłaszcza w I akcie.

— Z tych względów początkowo zastanawialiśmy się czy raczej nie wystawić „Iwony" — mówi **Józef Kovalczuk**, dramaturg i kierownik literacki „Ha-Divadla". — Ale uległiśmy pokusie. Myślę że zainteresowała nas po prostu już sama, niezwykła przecież forma teatralna „Operetki". Tradycji czeskiej kultury obcy jest zmysł formy, w naszym kraju sztuka pełniła zwykle służebną rolę: propagowała ideologię, oświecała budziła narodową świadomość, zaniedbując poziom estetyczny. Rozpad świata wartości społecznych w „Operetce" jest jednak również destrukcją w ramach pewnej formy artystycznej. I to było bliskie poetyce naszego teatru. Poza tym nie sądzę, że Gombrowicza można interpretować tylko w wielkim teatrze, środkami dużej sceny i dużego zespołu. Na odwrót — uważam że zasadniczy problem „Operetki" można lepiej uchwycić w teatrze naszego typu, na scenie studyjnej niż gdyby miało się zakładać jako cel stworzenie pełnej, doskonałej struktury operetki. To właśnie chcieliśmy udowodnić...

Co w takim razie zostało z tekstu Gombrowicza? Otóż właściwie... wszystko. Mimo konieczności uszczuplenia wieloosobowej obsady, skrócenia i uproszczenia szeregu scen, autorzy czeskiej premiery nie poszli drogą parafrazy, czy trawestacji. Porównywałem tekst przekładu „Operetki" („Operety"), wydanego w zaledwie 80 egzemplarzach nakładu „informacyjnej serii" przez Agencję Autorską „DILIA" w Pradze, z egzemplarzem reżyserskim. Wynika z tego, że myśl inscenizatora szła w kierunku odkonkretnienia realiów, nadania znaczeniom „Operetki" bardziej ogólnego, uniwersalnego charakteru. Twórców nie interesował wątek „rewolucji", „rewolucji proletariatu" (określenia te zastępuje konsekwentnie słowo „terror"), bunt „lokajstwa" przeciw „państwu". Z dramatu znikły „elementy wywrotowe": dużą grupę lokajów reprezentuje jedynie Władysław. Nie ma więc kto rozpoznać Hufnagla — w scenie pucowania, podczas rozmowy z Profesorem w II akcie — jako Józefa — wodza rewolucji (z dialogu tego wypadły też wszystkie odwołania do „teorii rewolucyjnej"). Natomiast w finale sztuki pod wierzchnią szatą Hufnagla zobaczymy mundur SS. W scenie „sądu nad Historią" w III akcie dwuprzymiotnikowe określenie „faszystowsko-hitlerowskie psy" zamieniono na dwa oddzielne: „teorrorystyczne" i „faszystowskie" a więc brzmiące bardziej ogólnie. Podobnie — ale to już chyba ze względów cenzuralnych — w znanej kwestii Księżny Himalaj z II aktu nagość jest „demokratyczna", a nie — jak u Gombrowicza — „socjalistyczna".

Nie są to drobne szczegóły, bo wszystkie razem zmieniają charakter dokonującego się w „Operetce" przewrotu. Nie jest to więc żadna, konkretnie umiejscowiona w historii „rewolucja proletariatu", ale bardziej uniwersalna przemiana — w świecie form. Twórcy spektaklu nie odżegnują się przy tym, że może ona oznaczać także np. zwycięstwo i przegraną nazizmu, o ile ktoś zechce interpretować Gombrowiczowskie „znaki" z perspektywy ideologiczno-politycznej.

Można i tak, choć — jak podkreśla kierownik artystyczny „Ha-Divadla" i reżyser „Operetki" **Svatopluk Vala** — twórcom chodziło o sprawy bardziej powszechne. Zaciekawiły ich — podobnie jak autora „Ferdydurke" — mechanizmy wyzwalania się jednostki spod ciśnienia społeczeństwa, presji Formy, której alegorią jest u Gombrowicza Strój jako opozycja do Nagości — symbolu autentyczności i ponadhistorycznej prawdy.

— Naturalną potrzebą człowieka, stałym motorem jego istnienia jest tworzenie kultury — mówi **S. Vala.** — Jest to proces wieczny powtarzalny. Człowiek tworzy kulturę by się z niej oswobodzić. Ale nigdy nie wraca do tej samej Formy. Rozbiwszy starą za każdym razem rodzi się inny. Jednak zawsze dla nowej Formy.

Myśl tę rozwija reżyser w finale sztuki. Aktorzy zrzucają kostiumy, odkładają rekwizyty, ale tylko po to, by nałożyć na siebie ubrania zdjęte z manekinów, stanąć na ich miejscach, zastygnąć w ich pozie.. Manekiny służą tu do przedstawienia dokonującego się przewrotu i jego efektu — skutków rozbicia form. Dzięki funkcjom znakowym i ekspresyjnym manekinów przemiana ta jest bardziej sugestywna: kukły pełnią rolę hiperbol, zastępują ludzi, podkreślają grozę i okrucieństwo. Mają one również wyobrażać tę część ludzkości, która jest pasywna, bezwolna, zdeterminowana. Jednak nie wszyscy aktorzy zostają zastąpieni przez plastykowe figury. Część bohaterów „Operetki" żyje dalej ludzkim życiem. To — wedle słów dramaturga **J. Kovalczuka** — ta część społeczeństwa, która jest aktywna, to ci, którzy inicjują przewroty, tworzą społeczne prawa i struktury. A ściślej ci, którym to się wydaje. Ich aktywność bowiem jest pozorna. I oni stają się narzędziem manipulacji. Próbują tylko w różny sposób przystosować się do zmienionego stanu. Równie też uzasadniają w swym wnętrzu duchowy i moralny konformizm, np. rzekomą potrzeba nowej sytuacji (mogą przecież się w niej jeszcze przydać!), zachowaną — w ich mniemaniu — uczciwością, wobec własnych sumień, poszczególnych bogów...

— Totalny relatywizm moralny jest cechą naszych czasów — powiada **Józef Kovalczuk.** — Znany jest w każdej rzeczywistości, polskiej także (problem ten stawia ostro Krzysztof Zanussi w „Barwach ochronnych"). U nas wszystko jest jeszcze bardziej względne, układy są bardzie zrelatywizowane za każdą maską kryje się więcej twarzy... Można oczywiście założyć istnienie jakichś form prawdziwej aktywności ale my — pod tym względem — jesteśmy bardzo sceptyczni. Nasz pesymizm wynika z poczucia bycia manipulowanym. I to właśnie odczucie sytuacji znalazło artystyczny wyraz w dokonującej się na scenie zamianie ludzi w manekiny. W pewnych warunkach człowiek nie jest zdolny być naprawdę aktywnym. W spektaklu nawet mistrz Fior, który jest alter ego autora, czy personifikacja reżysera, jedynie wyobraża sobie, że jest twórcą mody prawodawcą estetyki. Ba, chce być jeszcze kimś więcej: dyktatorem, chce kierować losami innych. Ale dzieło wymyka mu się z rąk, zaskakuje go. I Fior zatem należy do „pozornie aktywnych", i nim manipuluje sytuacja...

„Nie ma ucieczki przed gębą, jak tylko w inną gębę" — pisze **Gombrowicz** w „Ferdydurke". Rozbicie starej Formy, kończy się uwięzieniem w nowej. Nie ma ucieczki, choć człowiek może uświadomić sobie tę sytuację. W czeskiej inscenizacji „Operetki" bohaterowie zrzucają kostiumy i maski, odpowiadając na apel Fiora: „Zwykłymi stańcie się ludźmi!". Uświadamiają sobie ból, jaki im sprawiały. Razem z Mistrzem przeklinają „ludzki strój", „maskę ,co się w ciało wżera, okrwawiona", „krój pantalonów i bluzek".

Ale ta „Operetka" nie kończy się roztańczonym finałem, powrotem do tej samej Formy. Niemożność powrotu podkreśla muzyka, nie z Lehara, lecz z... elektronicznych syntez, daleka od tonalności i wiedeńskich kupletów. Z wszystkich możliwych wariantów zakończenia autorzy wybierają pesymistyczny. Gdy skończy się operetka — zdają się mówić — rozpocznie się inna, społeczna gra, tyle, że kostiumy nie będą już te same, operetkowe. Gombrowiczowski schemat: operetka — rozpad — powrót do operetki można więc zastąpić innym, pokazującym drogą od Formy — przez jej rozkład i dalszy rozwój do nowej, która jest też kolejną konwencją. Tego cyklu człowiek nie zdoła nigdy przeskoczyć.

Odrzucenie stroju możliwe jest tylko na moment: ułuda wolności. Dlatego nie ma w tej inscenizacji, w jej finale, wiary w wybawienie tkwiące w triumfującej młodości. Dlatego nie ma tu apoteozy, a nagość Albertynki trwa krótką chwilę, po czym niknie w ciemnościach. Jak „sen o nagości człowieka, uwięzionego w strojach najdziwaczniejszych i najokropniejszych...".

Hanacké Divadlo Prostejov: Witold Gombrowicz: „Lehká múza" („Operetka pro pokročilé"). Przekład. Jaroslav Simonides, dramaturgia — Josef Kovalczuk, reż. Svatopluk Vala scen. Jana Zborzilova i Jirzi Benda, muz. Vaclav Kolárz i Jirzi Bulis. Premiera: kwiecień 1980 r.

być aktorem

o świadomości twórcy mówi: ANDRZEJ MAY

Andrzej May — aktor Teatru Nowego, w każdej granej przez siebie roli zwraca uwagę wyjątkową precyzją jej opracowania. Każda grana przez niego postać wyróżnia się spośród innych, towarzyszących jej na scenie, szczególnego rodzaju indywidualną świadomością własnego istnienia. — Każda — w widoczny dla widza sposób, zdaje się być dodatkowo wsparta świadomością aktora, jego własnym stosunkiem do problemu, jaki ze sobą wnosi Andrzej May, identyfikując się z postacią wzbogaca ją swoimi przemyśleniami i świadomie nigdy nie zaciera do końca granicy między sobą, a wykreowaną przez siebie osobowością. Granica ta nie oznacza tzw. dystansu, pozwala jednak aktorowi włączać się w nurt rodzących się w chwili odbioru rozważań widza o danej postaci i bezbłędnie kierować naszymi dla niej uczuciami. Nam zaś dzięki takiej właśnie metodzie Andrzej May jawi się nie tylko jako aktor od pierwszego gestu celnie interpretujący postać, ale także jako twórca świadomy swych społecznych zadań. Żadna z kreowanych przez niego postaci nie jest emocjonalnie obojętna, czy neutralna. Każda stanowi nie tylko egzemplifikację jakiegoś istotnego problemu, ale także jest w pełni świadomym głosem w dyskusji wokół niego.

— Świadomość twórcy — czy moglibyśmy dziś porozmawiać na jej właśnie temat?

— W moim przypadku — umówmy się, że będę mówić tylko o swoich doznaniach, świadomość jest podstawowym elementem tego, co nazwałbym psychicznym instrumentarium aktora. Nas, aktorów, powinna cechować przede wszystkim głęboka wiara w prawdziwość świata scenicznej ułudy, w to że dwa drzewa z tektury to gęsty las, że tylko parę lat starsza ode mnie koleżanka przez kilka godzin jest moją matką, że przyjaciel od brydżowego stolika za chwilę zabije mnie celnym strzałem z pistoletu. Uwierzyć w realność świata, którego wizję stworzoną przez twórców przekazu teatralnego konkretyzuje się na deskach teatru — to wcale niełatwe zadania. Bez trudu podobny problem rozwiązują jedynie dzieci i czynią to w sobie tylko wiadomy sposób. Czy widziała pani jak piasek — gdy w piaskownicy bawią się w sklep — staje się w ich rękach mąką i cukrem, a kolorowe papierki — prawdziwymi pieniędzmi? Takiej właśnie, dziecięcej wręcz wiary, potrzeba aktorowi, by to co ma do przekazania publiczności nie raziło żadnym fałszywym tonem. Musi to być wiara w otaczający nas sztuczny świat, a także — co najważniejsze — wiara w siłę wypowiadanego słowa. Obok tej wiary potrzebna jest także wiara we własne siły i nadzieja, że jeśli dziś ich zabrakło, to jutro przyjdą na pewno.

Aktor — jeśli już o jego cechach psychicznych mówimy — musi też mieć nieustanną nadzieję, że wiele jeszcze przed nim, no i że ci ludzie po drugiej stronie rampy chcą go słuchać, oglądać i spotkać ponownie. Dla higieny zawodu aktorskiego i naszej w nim sprawności, tę właśnie nadzieję winniśmy nieustannie w sobie podsycać.

I wreszcie (wzbraniając się nieco przed tym słowem, bo takie jest już zszargane) — nasz zawód tylko wtedy odwdzięcza się nam osiąganymi w nim satysfakcjami gdy go kochamy, gdy w pełni staramy się go zrozumieć, gdy kochając go mądrze, spełniamy jego wymagania. Gdy bez szemrania rezygnujemy z wielu własnych prywatnych przyjemności. Gdy traktujemy go z największą powagą nawet wtedy, gdy naturalnym biegiem rzeczy pojawiający się element rutyny sprawia, że widok własnej twarzy z doklejonymi wąsami, sztuczną brodą i nosem z papieru któregoś wieczoru rozśmiesza nas samych i w nas samych powagę tej profesji poddaje w wątpliwość.

— Wiara, nadzieja, miłość... to cnoty ewangeliczne...

— Bo też i aktorstwo, proszę pani, jest zawodem wymagającym powołania i wkracza się w nie niczym do zakonu pełnego reguł, konieczności, nakazów i zakazów...

— Znam wielu ludzi, którzy uważają, że nie męska to sprawa zarabiać na życie udawaniem misia w bajce dla dzieci, a nawet odtwarzaniem Hamleta przez pięćdziesiąt z rzędu wieczorów.

— Aktorstwo nie jest udawaniem. Gdyby nim było — pewnie zgodziłbym się z zacytowanym przez panią twierdzeniem. „Męską" i w ogóle jedyną poważną sprawą i sposobem na życie jest w przekonaniu tych ludzi jedynie polityka, produkcja, praca naukowa — czyż nie tak? A kształcenie postaw, charakterów, osobowości, rozwijanie smaku artystycznego, wyrabianie gustów, czy jak powiedział poeta — służenie „za zwierciadło naturze", zwierciadło, które pokazuje „cnocie własne jej rysy, złości żywy jej obraz...", służba społeczna — to też „niemęska sprawa", niepoważne, lekkie zajęcie? Proszę pani, przecież to „udawanie misia czy odtwarzanie Hamleta" to tylko środek do celu. Rozumiem, że tym ludziom, o których tu mówimy, chodzi wyłącznie o technikę naszego zawodu, którą zresztą — jeśli tylko tak ją rozumieją — pojmują bardzo trywialnie. Ale przecież technika naszej pracy, nawet w jej najszerszym widzeniu nie jest celem samym w sobie i dla siebie, przecież nie gramy tylko po to, żeby grać. To granie jest jedynie sposobem realizacji bardzo poważnych zadań. Wie pani, adeptom naszej sztuki mówi się zwykle o trzech pytaniach, które dla właściwego jej wykonania winni stawiać sobie przed wyjściem na scenę. Pytanie pierwsze brzmi: co masz do powiedzenia bądź załatwienia?, pytanie drugie — komu będziesz to mówić i w jakim celu, a dopiero trzecie — jakich użyjesz środków wyrazu? I to o czym mówimy, to „granie", mieści się dopiero w trzecim punkcie. Właściwy zaś sens naszego zawodu określany jest w dwóch pierwszych. Technika dla techniki jest sprawą bezsensowną, choć czasem jej wytwory mogą sprawiać wrażenie doskonałości, to przecież przy bliższym ich oglądzie ziona straszliwą pustką i właśnie bezsensem. Nasza technika jest w oczywisty sposób służebna, a celem, który z jej pomocą staramy się osiągnąć, jest przekaz intelektualny i wywołanie przezeń emocjonalnego efektu u odbiorcy. Pełne odpowiedzi na dwa pierwsze pytania wskazują właściwe środki i procesu tego nie można zaczynać od końca. Chodzić przecież o akt kreacyjny.

— W tym momencie możemy już wrócić do kwestii czystej świadomości. Czystej, ale niewątpliwie także i złożonej?...

— Świadomość musi towarzyszyć mi zawsze. Muszę bardzo dokładnie wiedzieć co mam przekazać innym. Mało tego — muszę sam uwierzyć w sens tej prawdy, jaką ma w sobie każda sceniczna postać, muszę się z nią identyfikować, muszę, dając jej własną fizyczność, wchłonąć w siebie jej psychikę, muszę się nią stać. I dalej — muszę wiedzieć który z dostępnych mi, opanowanych już środków wyrazu, pozwoli najpełniej przekazać tę myśl, z jakiej pod piórem autora sztuki narodziła się grana przeze mnie postać. Muszę widzieć przed sobą cel jej ludzkich działań, by podjąć działania sceniczne właściwe sztuce aktorskiej. Muszę też wiedzieć do kogo mówię. Konieczna jest mi świadomość obecności i współuczestnictwa w akcie kreacyjnym partnera i widza, muszę wiedzieć komu przekazuję myśl swojej postaci, muszę zatem czuć, słyszeć partnera. Tego na scenie i tego na widowni, bo w tym najszerzej rozumianym teatralnym dialogu moim głównym partnerem jest widownia, publiczność. I najważniejsza, najbardziej niezbędna świadomość to świadomość faktu, iż mogę, choć nie zawsze mi się to udaje, kształtować ludzką psychikę. Ten cel jakim jest kształtowanie psychiki a co za tym idzie — podnoszenie świadomości społecznej, politycznej i kulturalnej, a więc kształtowanie postaw jest już z całą pewnością zupełnie ważny, powiedziałbym nawet, że bliski sensowi takich jakże poważnych zawodów jak lekarz, nauczyciel, dziennikarz, a może także polityk... My aktorzy możemy poszerzać świadomość widza, a w każdym razie wpływać na nią. Ta ostatnia świadomość — przy naszej wiedzy o tym jak delikatną i jak podatną niematerialną materią jest ludzka psychika — sprawia, iż staramy się dobierać środki skuteczne w działaniu i szlachetne w swej jakości. Gdy cel określony jest jasno, a zespół środków dobrany właściwie, gdy przekaz intelektualny jest czytelny, a adresat gotowy do jego odbioru i otwarty na jego treść, wtedy osiągamy ten cel. Ale mimo iż można określić wszystkie parametry tego procesu, a zatem wszystkie stopnie prawdopodobieństwa sukcesu naszych działań — to przecież nie zawsze on przychodzi.

Foto: R. Łucyszyn

ANDRZEJ MAY: „Każde doświadczenie czyni nas bogatszymi i sprawniejszymi...

— I co wtedy? Czy wtedy myśli pan, że praca poszła na marne, że szkoda...?

— Każde doświadczenie czyni nas bogatszymi i sprawniejszymi, wiedza o własnych słabościach jest równie przydatna jak posiadane już umiejętności, mobilizuje bowiem do poszerzania ich zasobu. Tak więc nigdy nie myślę, że jakikolwiek wysiłek poszedł na marne. Ostra, ale rzeczowa i fachowa krytyka jest równie cenna jak pochwała. Sensem naszej pracy nie jest odnoszenie sukcesów. Nie dla sukcesów zostaje się aktorem. Sukces można odnieść w każdej profesji i gdyby tylko o to chodziło... no cóż, parę zawodów znacznie łatwiejszych: „Sukces" — to słowo, które w gruncie rzeczy doprawdy niewiele znaczy. Więc wtedy, gdy coś nam się nie udaje (co przecież nie zawsze jest winą aktora, bo teatr to mnogość tworzyw), wracamy do źródeł swojego w teatrze istnienia, istnienia indywidualnego, osobistego, czyli — prościej mówiąc — do motywacji. Świadomość motywacji tkwi w nas na co dzień, ale wtedy jawi się przed nami z jakąś szczególną ostrością i jakrawością. Może dlatego, by chronić nas przed obezwładniającym zniechęceniem.

Różne bywają te motywacje: część z nas przyszła do tego zawodu z fascynacji sceną, część z miłości do literatury, z zachwytu nad urodą żywego słowa, jeszcze inni — z wiary w jego siłę, z pasji społecznikowskiej i z przekonaniem, że także teatr może być pomocny w rozwiązywaniu problemów współczesnego świata. Motywy mojej decyzji o wyborze tego akurat zawodu pochodzą właśnie z owego trzeciego kręgu. Aby być dobrze zrozumianym dodam tylko, że wszystkie trzy rodzaje motywacji uważam za równie cenne. Z czasem zresztą następuje jakieś ich przemieszanie i to dobrze, bo już na scenie okazuje się, że żadna z tych motywacji nie jest dla spełnienia siebie samej wystarczająca. Wszak by powiedzieć ludziom to co ma się im do powiedzenia, by mieć swój udział w jakiejkolwiek dyskusji, trzeba umieć operować słowem. Ono zaś tylko wtedy pozwoli się poznać i zawładnąć osobą, jeśli się je choć trochę polubi, jeśli wsłucha się w rozległość jego brzmienia. Skuteczność naszych działań na scenie zależy także i od tego czy znamy wszystkie jej tajemnice. One zaś odsłaniają się przed nami dopiero wtedy, gdy samą scenę obdarzamy jakimś uczuciem bądź choćby zrozumieniem.

Tylko pełna świadomość wagi wszystkich wymienionych tu czynników pozwala mi być aktorem. Świadomość jest więc w moim przypadku elementem koniecznym, nie zaś metodą wybraną z kilku innych. To podstawowy element mojego zawodu. Staram się wykonywać ten zawód najlepiej jak potrafię. Staram się też zgłębione już (częściowo, bo trochę ich jeszcze zostało przede mną), tajemnice tego zawodu odsłaniać przed młodzieżą, która dokonała takiego samego jak ja kiedyś wyboru. Motywacje młodych ludzi studiujących dziś na Wydziale Aktorskim w zasadzie nie są odmienne od tych, jakimi my dojrzali już aktorzy kierowaliśmy się dwadzieścia czy trzydzieści lat temu ale są „bogatsze"... o chęć zrobienia kariery, zdobycia sławy, powodzenia, sukcesów, pieniędzy... Ja ich nie potępiam, lepsze mimo wszystko pod pewnymi względami warunki życia uczyniły ich innymi. Czasem im nawet zazdroszczę, taką irracjonalną zazdrością własnej, o ileż uboższej (w dosłownym nawet znaczeniu) młodości. Im się już dziś znacznie lepiej powodzi niż nam, gdy byliśmy w ich wieku.

Tu z konieczności trzymania się tematu zaproponowanej przez panią rozmowy muszę ominąć cały obszar zagadnień wiążących się z wychowaniem młodzieży. Problem ten bowiem nierozerwalnie jest związany z postawą starszego pokolenia, warunkami społecznymi i całą gamą wad i zalet naszego społeczeństwa. Nie uchylam się od odpowiedzi na ten temat, ale może przy innej okazji. Młodzież można łatwo oskarżać i zarzucać jej wiele, ale należy przedtem zastanowić się nad przyczynami zaistniałej sytuacji. Kontynuując nasz temat — oni, młodzi często mniej czują i chyba zbyt często liczą, zbyt dużo przeliczają, a czasem — choć skrzywdziłbym ich, gdybym widział w tym zasadę postępowania ogółu aktorskiej młodzieży — uzależniają własne działanie od jego opłacalności. Mam więc też świadomość odpowiedzialności jaka spoczywa na mnie w związku z wychowawczą, a nie tylko dydaktyczną funkcją nauczyciela tego zawodu. Wiem, że tych, którzy przyjdą po nas muszą uczyć nie tylko tego jak być aktorem, ale także i tego co to znaczy być aktorem. Przede wszystkim tego.

— Jak określiłby pan to najprościej?

— Być aktorem to znaczy współ z innymi pracować nad stałym podnoszeniem ogólnego poziomu — szczególnie zaś wrażliwości społeczeństwa — to wskazywać drogę, piętnować przywary, ewokować zalety, wspólnie przeżywać i poznawać... Być aktorem, to słowami wielu ludzi wypowiadać siebie. Być aktorem — to działać na scenie z pełną świadomością celu i odpowiedzialnością za skutki swego działania. Świadomość spoczywającej na mnie odpowiedzialności wobec widza, który jest adresatem moich działań, ale i partnerem w procesie poznawania i przeżywania otaczającego nas świata jest najważniejsza. Aktorstwo to służba społeczna.

Notowała:
EWA PANKIEWICZ

JESZCZE O CHOREOGRAFII

W ostatnich miesiącach ukazało się kilka artykułów omawiających problemy polskiego baletu. Sprawie tej warto z całych sił przyklasnąć, tym bardziej, że przez lata, poza zdawkowymi recenzjami, balet był „wielkim nieobecnym" we wszelkich publikatorach. Ostatnio interesującą polemikę, zogniskowaną głównie wokół przyczyn dzisiejszego kryzysu polskiej twórczości choreograficznej, przedstawiła „Kultura". Jednakże „podsumowanie" owej dyskusji pióra Jana Berskiego („Jeszcze o choreografii" Kultura nr 13) wypaczyło zdrową i rzeczową prezentację stanowisk (Irena Turska, Janina Pudełek, Andrzej Potocki — „Kultura" nr 4 i 8) — sprowadziło ją do poziomu niewybrednych ataków na kompetencje i prestiż spierających się osób — autor wyeksponował własne, zadawnione anse i gniewną pewność siebie.

Publikacja Berskiego byłaby bez wątpienia tekstem, o którym należałoby zapomnieć jak najszybciej, gdyby nie końcowy, krótki fragment, w którym autor wraca do sprawy zasadniczej — wyższych studiów choreograficznych — głównego przedmiotu publicznej kontrowersji. Wszyscy dyskutanci są zgodni w ocenie stanu rodzimej choreografii — stwierdzają głęboki upadek tej formy twórczości.

J. Pudełek i Potocki, przeciwstawiając się opiniom Turskiej, powiadają, że fundamentem zmian na lepsze powinno być utworzenie wyższych studiów choreograficznych. Natomiast Berski we wspomnianym wyżej fragmencie prezentuje zgoła obojętny stosunek do baletu i jego spraw — postuluje złowróżbną bierność. Powiada, że należy porzucić myśl o otwarciu wydziału z taką specjalnością „dlatego, że nie wiadomo kim obsadzić stanowiska wykładowców głównych przedmiotów praktycznych (oraz, że — J. K.) nie wiadomo także, jak zorganizować zajęcia praktyczne dla przyszłych studentów. Wydaje się, że powyższe trudności można stosunkowo łatwo przezwyciężyć. Po pierwsze można i warto wprowadzić rozwiązania dydaktyczne stosowane w wyższych szkołach artystycznych. W danym przypadku zajęcia z przedmiotów praktycznych prowadzą nauczyciele akademiccy — uznani artyści. Analogicznie należy również zorganizować pracę na studiach choreograficznych, tym bardziej, że dysponujemy obszerną kadrą odpowiednich, nie w pełni wykorzystanych twórców — nb. pisał o tym Berski w „Balecie bez repertuaru" („Literatura", 1979). Drugi warunek — zdaje się być również łatwy do spełnienia, jako że akademickie lekcje — zajęcia w komponowaniu choreografii, można by prowadzić z grupami, klasami uczniów szkół baletowych, wyręczając przy tym pedagogów baletu z obowiązku tworzenia układów choreograficznych dla potrzeb uczniów zdających egzaminy, semestralne i dyplomowe.

Wydaje się jednak, że przyczyny kryzysu twórczości choreograficznej tkwią jeszcze głębiej. To nie brak studiów akademickich doprowadził polski balet do upadku. Główne źródło niedomagań tkwi w źle zorganizowanej i niedostatecznej bazie materiałowej i nieodpowiednim mecenacie państwowym. Myli się Berski, powiadając za Turską, iż mamy bazę „jak na nasze możliwości dość pokaźnie rozbudowaną", że wystarczy ją uporządkować. W „Zróbmy coś sami" nie mniej optymistycznie stwierdza, że kryzys w balecie można zażegnać dzięki konsolidacji środowiska, iż wystarczy, że przemówi ono „swoim własnym głosem, gdyż są środki w postaci tzw. zaplecza i bazy materiałowej (szkoły teatry, państwowy mecenat)". Dziwne, że Berski znawca życia baletowego, stawia tak niewłaściwą diagnozę, że nie zauważa, że nie ma ani odpowiedniego zaplecza, ani dostatecznej bazy materiałowej, ani właściwego mecenatu państwowego (wypowiedziałem się na ten temat szerzej w „Odgłosach" 1981, nr 11). Szczególnie dotkliwie dokucza brak odpowiedniej ilości teatrów i scen baletowych, brak większej ilości samodzielnych zespołów baletowych. Rozwojowi baletu przeszkadza anachroniczna, wręcz feudalna, względem tancerzy, struktura polskich teatrów muzycznych. Nie będzie bogatego rozwoju polskiej twórczości choreograficznej bez dużej ilości premier i zdecydowanie większej ilości spektakli baletowych. Choreografowie muszą mieć przede wszystkim możność i miejsce pracy, a to może zapewnić tylko właściwy mecenat państwowy stawiający na rozbudowę zaplecza, utworzenie nowych teatrów i scen baletowych, reorganizujący i przełamujący skostniałe stereotypy życia artystycznego w istniejących teatrach. W tym kontekście wyższe studia choreograficzne jawią się jako kolejny i nieodzowny instrument-oręż porządkujący chaos i pobojowisko na polu walki o prawdziwą sztukę.

JERZY KOSIEWICZ

W sprawie Teatru im. J. Tuwima

W ostatnich dniach opinię publiczną zbulwersowały informacje o postanowieniach Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi dotyczących Teatru im. J. Tuwima.

Ponieważ ogółowi nieznane są zarówno przesłanki jak i przyjęty sposób rozwiązania powyższego problemu, wyjaśniamy:

Już w początkach sezonu 1980/81 zespół Teatru im. J. Tuwima postawił przed władzami miasta alternatywę bądź zabezpieczenia określonej bazy i warunków finansowych, bądź likwidacji teatru ze względu na niemożność prowadzenia w dotychczasowych warunkach odpowiedniej działalności artystycznej.

Katastrofalna sytuacja bazy łódzkich placówek kulturalnych i trudna sytuacja ekonomiczna kraju, zmuszają nas do stwierdzenia, że w oparciu o realia nie widzimy ani w chwili obecnej, ani w najbliższej perspektywie możliwości rozwiązania zasygnalizowanych przez teatr problemów.

Tak więc biorąc pod uwagę:

— brak odpowiednich warunków lokalowych w Łodzi,
— małą ilość sal i mankamenty ich wyposażenia w województwie miejskim łódzkim,
— brak możliwości kompleksowego uregulowania spraw transportu,
— niedobory finansowe tak Teatru im. Tuwima jak i pozostałych scen Łodzi,
— możliwość wsparcia działalności scen stacjonarnych rozłożoną dotacją Teatru im. Tuwima,
— sygnalizowaną wielokrotnie tendencją zespołu do prowadzenia działalności stacjonarnej i widząc rozwiązanie istniejących problemów w komasacji sił twórczych i środków finansowych z dniem 1 września 1981 roku postanowiliśmy powołać przy Teatrze Powszechnym drugą scenę stanowiącą kontynuację działalności artystycznej Teatru im. Tuwima. Fakt ten jest jednoznaczny z rozwiązaniem w powyższym terminie Teatru im. Tuwima w jego dotychczasowym kształcie organizacyjnym.

Istotne dla całokształtu sprawy wydają się idące za powyższym zobowiązania wydziału, co do zatrudnienia w teatrach łódzkich wszystkich członków zespołu artystycznego, mających podpisane na sezon 1981/82 umowy o pracę. Posiadać oni będą dwuletnią gwarancję zatrudnienia, w odróżnieniu od rocznych umów obowiązujących wszystkich pracowników artystycznych scen polskich i łódzkich.

Także pozostali pracownicy teatru otrzymają propozycje zatrudnienia, choć w tym wypadku nie możemy wszystkim gwarantować pracy w teatrach, czy placówkach kultury.

W celu właściwego opiniowania i rozpatrywania wszelkich spraw personalnych i problemów mogących ujawnić się w trakcie przeprowadzanej reorganizacji powołany zostanie specjalny zespół konsultacyjny.

Jednocześnie informujemy, że w oparciu o pełne rozeznanie istniejącej sytuacji, Zarząd Oddziału Związku Artystów Scen Polskich w Łodzi poparł i pozytywnie zaopiniował podjęte przez wydział postanowienia.

WYDZIAŁ KULTURY I SZTUKI URZĘDU MIASTA ŁODZI

wakacje z ojcem

HENRYK CZARNECKI

Dworzec kolejowy w Ciechocinku. Krystyna i Jerzy wysiadają z pociągu. Przy wyjściu na peron czeka na nich ojciec Jerzego — starszy pan, emeryt, były urzędnik. Już ich zobaczył, radość na jego twarzy, Jerzy z daleka wymachuje mu ręką. Starszy pan ściska Jerzego, potem nieśmiało Krystynę.

— *Świetnie wyglądasz, tatusiu.*

— *Nie przesadzajmy, nie przesadzajmy* — uśmiecha się ojciec.

Wychodzą z dworca. Jerzy widzi jego zniszczony garnitur, zreperowane cienkim drucikiem pęknięte oprawki od okularów, krawat, który podarował mu jeszcze w studenckich czasach na imieniny, kłócący się teraz swoim zrudziałym brązem z granatową marynarką. Serdecznym gestem obejmuje go z tyłu za ramię.

— *Jak twoja żona, tatusiu?*

Ojciec nie odpowiada. Dopiero po chwili, innym tonem, mówi zakłopotany:

— *Zostaniecie tu dłużej?* — rzuca okiem na ich bagaże.

— *Nie wiem* — Jerzy spojrzał na Krystynę: zrobiła nieokreślony ruch głową.

Zatrzymali się przed willą.

— *Jesteśmy na miejscu* — mówi ojciec niepewnie.

— *Bardzo tu ładnie* — Krystyna podniosła głowę. — *Taras...*

— *Rodzinna scheda Joasi. Mojej żony* — wyjaśnia szybko Krystynie. — *Jej ojciec miał tu przed wojną restaurację, czy też kawiarnię... Na dole Joasia wynajmuje pokoje.*

Wchodzą na górę.

W przedpokoju zostawiają bagaże. Widać, że ojciec nie czuje się tutaj u siebie, rozgląda się coraz bardziej zakłopotany, niemal na palcach przesuwa się bezszelestnie przez korytarz. Wchodzą do pokoju. Krystyna od razu „przymierza się" do tego domu, pokoju, wychodzi na taras, wraca, uśmiecha się ciepło do teścia. Stary obserwuje ją z niepokojem.

— *Gdzie tu można się rozpakować?*

Starszy pan nie wie co odpowiedzieć.

— *A to... to, gdy przyjdzie Joasia... nie wiem.*

— *Chciałabym się umyć.*

— *Proszę cię bardzo* — prowadzi ją do łazienki. — *Joasiu!* — woła na klatce schodowej, wraca szybko do syna, mówi szeptem: — *Nie napisałeś w liście wyraźnie czy tylko wstąpicie, czy chcecie tu dłużej...*

Do pokoju wsunęła się pani Joasia. Bezszelestnie. Znienacka. Tuż za nią wchodzi Krystyna.

— *To moja...* — ojciec robi ruch ręką w stronę żony, ale zorientował się, że nie w tej kolejności należy przedstawiać, wskazuje ręką Krystynę. — *To właśnie moja synowa...*

Pani Joasia zmierzyła ją chłodnym spojrzeniem. Krystyna uśmiechnęła się, podeszła, uścisnęła jej rękę.

— *Cieszę się ze spotkania, poznania...*

Gospodyni patrzy na nią bez entuzjazmu, ojciec — zażenowany.

— *Dziękuję ci, Jerzy, że mnie tutaj przywiozłeś, ślicznie tu* — mówi Krystyna.

Na twarzy ojca widać kropelki potu, jakby bomba miała po tych słowach wybuchnąć. Ale pani Joasia zmienia się nagle na twarzy, uśmiecha się do Krystyny, staje się niemal serdeczna.

— *Podoba się pani? Proszę popatrzeć z tarasu.*

— *Już wyglądałam. Wspaniale* — przymila się zadowolona Krystyna, że tak szybko udało jej się zawojować starą. Spojrzała triumfująco na Jerzego.

— *Państwo na wakcje? Na urlop?* — chce się jeszcze upewnić.

— *Na jedno i drugie.*

Krystyna przynosi z przedpokoju torbę podróżną, stawia na stole, wyciąga cepeliowski kilimek, wręcza go pani domu.

— *Zamiast kwiatków* — uśmiecha się do pani Joasi.

— *Ależ po co...* — certuje się gospodyni.

Stary pan odetchnął.

— *Ten pokój będzie wam odpowiadał?* — pyta pani Joasia. — *Taras do dyspozycji, widok na tężnie, jod. Auta tędy nie jeżdżą, promenada, do kawiarni trzy kroki, najlepszy punkt w Ciechocinku.*

— *Ależ tak, tak, oczywiście* — cieszy się Krystyna.

Gospodyni robi ruch ręką wyrażający „proszę się wobec tego rozgościć", Jerzy idzie do przedpokoju po plecak, pani Joasia mówi oschle do męża:

— *Zejdź pod jedynkę i zobacz co tam z tą umywalką. Znów pewnie wylewali fusy z herbaty.*

Ojciec posłusznie wychodzi, Krystyna rozpakowuje się. Wchodzi Jerzy z plecakiem.

— *Pokażę panu jak włącza się gaz, gdy jest małe ciśnienie. A tutaj zawsze jest małe.*

Prowadzi go do łazienki, puszcza wodę, spinką do włosów przygotowaną specjalnie do tego celu na wannie przyciska dźwigienkę w piecyku. Zapala się gaz.

— *Za pokój biorę w sezonie po sto trzydzieści od osoby. Wszyscy tutaj tak biorą. W tym punkcie...* — mówi w czasie tych piecykowych manipulacji. — *No, ale od państwa, od swoich, po sto... I proszę nie rozmawiać na ten temat z ojcem. Taki przewrażliwiony na punkcie pieniędzy.*

* * *

Krystyna odpoczywa na tapczanie przy szeroko otwartym oknie. Jerzy schodzi po schodkach do piwnicy.

Ojciec odkręca zawór, sprawdza małym kranikiem czy leci woda, uśmiecha się do Jerzego. Ten dotknął ręką ramienia ojca, dyskretnie go uścisnął.

Obok — gospodarczy pokoik. Maleńki, ledwie polowe łóżko tutaj się mieści. Ojciec wprowadza tam Jerzego, sadowi go na tym łóżeczku.

— *Poczekaj, sprawdzę jeszcze, czy dobrze założyłem pod trójką uszczelkę.*

Jerzy rozgląda się po izdebce. Na skrzynce obok łóżka tranzystorowe, prymitywne radyjko z przyczepionymi z tyłu gumką bateryjkami. Na haku wiszą robocze spodnie, stary, słomkowy kapelusz. Kilka książek leży na skrzynce. Jerzy odczytuje z tych wszystkich tu rekwizytów smutny los ojca. Żal mu go bardzo.

Wchodzi stary pan. Uśmiechnięty, radosny, chciałby uściskać syna, ale kładzie mu tylko nieśmiało dłoń na ramieniu nie chcąc narzucać się czułościami.

— *Jak dużo gości to tutaj sypiam* — tłumaczy się jakby. — *Lubię ten kącik. Taki... kawałek wiosennego miejsca... Dobrze, że zszedłeś tu na dół* — siada na brzeżku łóżka.

Jerzy wyciąga się wygodnie, wiedząc, że robi tym ojcu przyjemność.

— *Podłóż sobie poduszkę, synku.*

Przez chwilę wydaje się, że wróciło coś z dalekiego dzieciństwa, że ojciec pochyla się nad łóżeczkiem syna.

— *Tatku, jutro wyjeżdżamy.*

Stary przeraził się.

— *Ale dlaczego?! Mieliście przecież...*

— *Chcę pojechać z Krystyną do Skępego, zobaczyć starą szkołę. Ciekaw jestem czy jeszcze potrafię przepłynąć jezioro* — stara się mówić swobodnie, wesoło, chce „zagadać" ojca wspomnieniem rodzinnych stron, wyrwać go ze stanu przygnębienia.

— *Dyrektor Markowski pewnie nie żyje. Już wtedy był...* — spojrzał nagle przenikliwie na syna, coś zaświtało mu w głowie. — *Joasia, co?*

— *Nie, nie.*

Stary podniósł się, otworzył pudełko z narzędziami, odsunął jakieś klucze, obcęgi, młotek, wygrzebał z głębi małe pudełko po papierosach, otworzył, wypadło kilka fotografii na łóżko.

— *Masz takie zdjęcie matki?* — podaje mu jedną odbitkę.

Jerzy ją bierze do ręki, zerka czego ojciec szuka jeszcze w pudełku. Stary wyciąga starannie złożone cztery pięćsetki, rozprostowuje je, wygładza, podaje Jerzemu.

— *Weź, synku, Wiem, że macie tutaj dużo wydatków. A mnie niepotrzebne. Nie palę, nie piję...*

Jerzy podniósł się z łóżka, odsunął rękę ojca z pieniędzmi. Wzruszył go zarówno ten gest, jak i widok ukrytego głęboko w pudle „zaskórniaka".

— *Wiesz?* — ojciec uśmiecha się tajemniczo. — *Zbierałem dla twojego syna. Jak się urodzi. No i... skoro wam się nie spieszy* — podsuwa mu znów rękę z banknotami. — *Uzbierało się trochę. Weź!*

Jerzy wziął z jego ręki pieniądze, schował je z powrotem do pudełeczka z fotografiami, położył w skrzynce, przykrył narzędziami.

— *No widzisz. Dlatego musisz je mieć. Bo co zrobisz jeśli za kilka miesięcy otrzymasz wiadomość, że urodził się wnuczek?*

* * *

Ich pokój na górze. Krystyna, jak przedtem, leży na tapczanie w kostiumie. Jerzy stoi nad nią.

— *Nie rozumiem dlaczego mamy wyjeżdżać* — mówi rozdrażniona. — *Gdzie znajdziemy lepsze warunki. W dodatku...*

— *Wyjeżdżamy!* — przerywa jej Jerzy stanowczo.

— *Nie żal ci ojca?*

— *Żal.*

— *W takim razie nic nie rozumiem.*

— *Czy koniecznie musisz zawsze wszystko rozumieć? Do końca?*

— *A ten mój kilim, który jej dałam?* — uniosła się na łokciu, spojrzała ostro na niego.

— *Przecież mówisz, że dałaś.*

— *Nie zawracaj głowy. Nikt dziś nie robi bezinteresownie prezentów za dwa tysiące.*

— *Robi.*

— *?*

— *Właśnie zrobiłaś.*

Znów ten sam dworzec. Krystyna, ojciec i Jerzy stoją na peronie. Ojciec ściska dyskretnie rękę Jerzego, ten spogląda nie niego smutno. Wszyscy kłamią sobie nawzajem:

— *Racja!* — mówi nagle ojciec z uśmiechem. — *Przecież niedługo przyjadę do was zobaczyć wnuka.*

— *Wnuczkę* — mówi Krystyna.

— *A potem my będziemy tutaj przyjeżdżać z małym na lato* — dodaje Jerzy też siląc się na pogodną twarz.

Nadjeżdża pociąg. Szybko wsiadają, podchodzą do okna. Patrzą na siebie, starając się za wszelką cenę udawać beztroski nastrój. Pociąg rusza. Twarz ojca oddala się, znikają z niej zmarszczki, czerwień ust, kształt nosa Stary wyciąga oczy, stoi wpatrzony w pociąg, którego już nie widać.

Poznaliśmy się w HAWANIE. Wydałaś mi się kobietą dojrzałą, wyrafinowaną, jedną z wielbicielek seksu. Paplałaś przy stoliku z Jadzią-psycholog, flamą Janusza, o waszym poznaniu w pociągu.

— *Seniority! O kolei warto mówić dopiero po zderzeniu dwóch ekspresów!* — włączył się w rozmowę Janusz. Miał przy sobie was, podziwiające go audytorium. To zainteresowanie innych przenikało mu do żył, czuło się w nim oddech teatru, talent, powiedziałbym wyrastały mu skrzydła. Nie geniuszów sceny, ale zawsze skrzydła. Musiałaś to odczuwać podobnie.

— *Seniority!* — ciągnął Janusz. — *Mimo waszej gadki, jesteście zielone. W arcyważnej dziedzinie: organizacji wczasów. Bo wczasy, to labirynt, wyższa szkoła jazdy. Przezorny mężczyzna nie liczy tu na uśmiech losu, rozpoczyna podryw jeszcze w pociągu. Jadą z nim same emerytki? Działa następnego dnia. Na giełdzie samotnych panów, ma taką każdy wczasowy dom.*

— *Gmach tej giełdy* — kontynuował — *to wczasowy hol. Schodzisz tam, pytasz innych: jaki towar przyjechał? Średniolaty, emerytki? Jak opakowany? W których pokojach się składuje? Węszysz w holu, pod drzwiami gabinetu kierowniczki. Nicujesz wzrokiem zajeżdżające taksówkami panie, strzyżesz uszami na rozmowy. Podoba ci się ta blondyna? No, to walisz: pani Krysiu! Ona, zdziwiona: skąd pan mnie zna? A ja po prostu słyszałem, jak na nią wołała współlokatorka. Spotykam inną: „dzień dobry, szałowy sweter, lecz ładniej pani w zielonej bluzce". Ona wybałusza ślepki, a ja macam w kieszeni notes, gdzie notuję imiona kobiet, wiek, nawet kolor ich bluzek. Także wrażenia: „tyczka", „ciepłe kluski", „rzadko się myje", „palce lizać", „szkoda czasu". One podziwiają: „Ale wy, aktorzy, macie pamięć!" A ja mam notesik, gdzie wszystko notuję.*

Mignął nim nad stolikiem, niby znaczkiem tajniaka, i znowu wpuścił w kieszeniową głąb. Przeprosił nas, odwrócił się w stronę trzech młodych wczasowiczek: wdzięcząc się, szczebiotały, by zechciał wyjść na parkiet, palnąć jakiś monolog. Uległ dopiero po chwili: pogadał z muzykami, wszedł w przerwie na parkiet, ujął mikrofon. Po chwili przy stolikach buchnął śmiech, razem z Jadzią-psycholog śmiałaś się także ty. Poczułem w sobie cierń niezadowolenia: nie lubię, gdy kobiety, uznane już przeze mnie za moje, patrzą na innych jak na Januszą wtedy ty Zapragnąłem oderwać twój wzrok od niego, przypomnieć: patrz, obok ciebie siedzi ktoś może ciekawszy, mądrzejszy, błyskotliwszy...

— *Widzisz, Nino* — mówiłem. — *Na tę salę trzeba patrzeć nie przez okulary Janusza. To swoiste, ludzkie zoo. W każdym tańcu kołysze się tu i pomrukuje, jak parzące się w zoo lwy, pantery i hieny, niemniej interesująca menażeria. Co swe prawdziwe twarze odsłania właśnie w uzdrowisku. Odsłania również w groźnej katastrofie, w wyścigu o karierę, własny domek, społeczne zaszczyty. Ale tu, w Zdrojach, w kobiecie i mężczyźnie, można poznać jeszcze kogoś innego: Homo sexus, człowieka seksualnego Człowieka intymnego, co odsłania tu swą intymność jak genitalia, swój stosunek do intymności własnej i tej w drugim człowieku. Zwróć uwagę: z wszystkich motorów życia, tu najważniejszy jest seks.*

— *Widzisz tę ciemnowłosą w wieczorowej toalecie?* — mówiłem, trochę także do Jadzi-psycholog. niech się tak nie zatraca w Januszu. — *To trzecia żona znanego reżysera. Tańczy zmysłowo, czasem nawet nago, także tu w Zdrojach, lecz tylko na prywatkach. Sympatyczny młody grubasek, zapala jej papierosa, to biolog, co wypiął się na swój zawód, założył szklarnię. Obok pszenicznowłosa asystentka uniwersytetu, sama polskość i młodość. Przy Pszenicznowłosej przemiła brzydula, Ania, inżynier-hutnik, babka otrzaskana z życiem, hutą, robotnikami.*

Uśmiechałaś się z mojej paplaniny, Jadzia-psycholog też. Więc mknąłem po wybranym torze rozmowy.

Mógłbym tak pleść do rana, niechby Janusza trafił szlag. Ale powrócił z parkietu, żegnamy oklaskami i strzelił propozycję: spływamy do baru na jedną wódkę. Zeszliśmy na parter kawiarni, zamówiliśmy po setce, pod mętnym wzrokiem dwóch pijaczków. Taksowali cię kaprawymi oczkami, a ty przyjmowałaś to, jak należny hołd.

— *Teraz chcę się przejść! Po skwerze!* — kaprysiłaś, trzymając pod ramię mnie lecz patrząc na Janusza.

— *Później!* — burknąłem. Ruszyłem ostro z powrotem do kawiarni, niemal ciągnąc ciebie, tą reakcją zaskoczoną. W kawiarni popchnąłem cię, zdumioną, w stronę Wojtka-inżyniera, udając wygłup, powiedziałem: zatańcz z nią, koleś! Sam skłoniłem się Jadzi i nie zważając na Janusza, pociągnąłem ją na parkiet. Tańczyłaś niedaleko, z twarzą przy jego twarzy, widać lubiłaś ten styl. Nagle się zreflektowałem: czego właściwie chcę? Traktuję cię jak dziwkę, a chciałym... Chcę przespać się z tobą, a myślę o tobie... jak gówniarz, licealista, pierwszy raz zadurzony w dziewczynie!

— *Dlaczego to zrobiłeś?* — szeptałaś na parkiecie, gdy objąłem cię ramieniem. Wiedziałem, masz na myśli ów głupi odruch z tamtym inżynierkiem.

— *Bo nie lubię, gdy kobieta, pragnąca pójść ze mną do łóżka, gotowa jest czynić to z wszystkimi.*

— *Czy to nie nazbyt ostro? Nawet wobec kobiety, z którą chciałbyś uprawiać miłość w tempie ekspresowej pralni? wczasowym domu, gdzie się da, taksuję cipki w jadalni, pijalni, na deptaku i dancingu, na plażowej łączce. Czasem babka na oko niepozorna, nieopierzone pisklę, kura, pchła... A ujrzysz ją w plażowym kostiumie na łączce, te ukryte w biustonoszu „naboje" — i staje ci mózg! Nie ważne, że z wczasów przeleci tydzień, czy nawet dziesięć dni. Kiedy spodoba mi się kobieta, odbiję ją każdemu!*

— *Niedobrze!* — wdzięczyła się Jadzia-psycholog. — *Mnie wybrałeś chyba za wcześnie. Już po trzech dniach!*

— *A może tym razem dobrze?*

Zaczął się z nią przekomarzać, zwalniać kroku, szli w ostatniej parze. Korzystając ze strefy przychylnego cienia, przystanęli na środki chodnika i całowali się namiętnie. Zwolniłem nieco kroku, by mogli nas dogonić, objąłem cię, Nino, w pół i nagle też pocałowałem. Nie broniłaś się, ale i nie prowokowałaś.

— *Wiesz, czego ci naprawdę zazdroszczę? Że jesteś redaktorem.*

— *Byłem, słowiczku* — sprostowałem lojalnie.

Objąłem cię ramieniem w pół. Idąc powoli, mówiłem na pozór niedbale, prawie ironicznie: wiesz, podobno miałem nawet , trochę talentu, dziennikarską żyłkę, potrzebny do tego fachu węch. Chciałem stać się kimś wybitnym, kimś, kto się liczy, specem od błyskotliwych reportaży, czytanych z zapartym tchem. Chciałem

początek romansu

TADEUSZ SŁUPECKI

W twoim głosie ironia, poczułem wstyd. Zreflektowałem się po raz drugi· czego właściwie chcę? Abyś została ze mną na dzień, tydzień, do końca twojej kuracji? Czy nie godzisz się na to, na tę wczasową grę, nie podejmujesz jej jak piłki, czy nie odbijasz jej z powrotem, nie czekasz na kolejne ku tobie odbicie? To ja wygłupiam się w tej grze, chciałbym podświadomie zmienić ją na inną. Miłość? Co znaczy dziś to słowo? Co ono w ogóle znaczy w naszych czasach? W jakim słowniku znaleźć współczesne jego tłumaczenie? Rozbierzesz z sukni kobietę, zostanie jej nagość. Rozbierzesz słowo „miłość", zostanie seks...

— *O czym znów myślisz? Jeszcze o tym, co powiedziałeś?* — przerwałaś milczenie, zerkając mi w twarz.

— *Przepraszam* — powiedziałem. — *Tamto było, minęło. Zapomnij o tym i ty.*

Twoja pojednawcza dłoń na moim ramieniu. Muzyka ucichła, czas było płacić kelnerce, musiałaś wracać do sanatorium. Wyszliśmy z HAWANY na chodnik, ucięty jezdnią, z drugiej strony skwerem z kwietnymi klombami. W trzy pary, bo pszenicznowłosą asystentkę na drugą stronę ulicy, gestykulując z przejęciem, prowadził młody typ z czarną brodą wikinga. Dotarło do nas parę jego ostatnich słów: *„...ze wszystkich instynktów człowieka, zapewniam panią, tu liczy się tylko seks..."* Parsknąłem śmiechem, za mną ty.

— *Facet chyba słyszał twoją oracje na dancingu?* — Janusz uśmiechnął się złośliwie.

— *A ty twą wielką improwizację o wczasach, serwowaną tu od lat, od kogo słyszałeś?*

Spojrzał na mnie ze złością. Zaraz jednak się roześmiał, wcielił w skórę wczasowego idola. W ym draniu jednak naprawdę była iskra talentu.

— *Właściwie, to wam tej improwizacji nie dokończyłem. Mówiłem, że mądry wczasowicz nie liczy na uśmiech losu ani, Leszku, na ciebie. I nigdy się nie spieszy: pośpiech wrogiem mężczyzny. Są tacy, jeszcze nie zmyją potu z podróży, już obskakują najbliższą spódniczkę, czasem dwie. Moja dewiza jest inna, dla niej dano mi przezwisko „krążownik" albo „oblatywacz". Ja sobie krążę po* poznawać świat, kulisy wielkich wydarzeń, powstania, rewolucje, docierać tam, gdzie dzieje się współcześnie coś ważnego, istotnego dla nas, dla kraju, całej planety. Pozostało z tego we mnie tylko słabe, zamierające echo. Teraz jestem tu instruktorem od kultury, mówią: kaowcem. Niewyraźną figurą, czymś pomiędzy przewodnikiem wycieczek, a dawnym żigolakiem. Facetem od bawienia nudzących się w uzdrowisku pań.

— *Ty słuchaj go tylko jednym uchem* — poradził ci, Nino, zza naszych pleców Janusz. Dołączył do nas z Jadzią-psycholog, szli teraz blisko siebie, trzymając się za dłonie. — *To był facet o złotym długopisie. Na pewno zrobiłby karierę. W dziennikarstwie, może i w literaturze, gdyby paru tępych facetów nie podłożyło mu w Łodzi świni.*

Zirytowałem się. Nie lubię, kiedy ktoś, nieproszony, pakuje nos w gąszcz moich spraw. Przyspieszyłem kroku i klarowałem ci, jak to ze mną na prawdę jest. Owszem, kiedyś, zanim wylano mnie z redakcji, marzyło mi się to i owo. Wielka idea, dobro, piękno, przebudowa społeczeństwa, walka nowego ze starym, z tym co głupie, podłe i złe. Ale teraz (tak mi się wtedy wydawało) należę do facetów, rzeczowo patrzących na mężczyzn i kobiety, w ogóle na ten obłudny, cyniczny, wredny świat. Skończyły się legendy o miłości, wierności itd. Miłość to seks, a szansę na karierę mają tylko ochlapusy i faceci, co to co krok, to trup. Słuchałaś nie patrząc na mnie, moje słowa, wydawało mi się, padły w ciebie jak w studnię bez echa i dna. Aż nagle twój cichy, miękki głos, ten, jakiego po tobie się nie spodziewałem: czy ty w życiu, choć raz naprawdę, się kochałeś?

Zamurowało mnie. Cholera, nikt tu dotąd tak mnie nie zahaczył! I to kto: facetka-wczasowy motyl, podrywająca kogo się da! Przez chwilę gapiłem się w czarny (noc!) masyw Parkowej Góry, na jasny ścieg lamp, świecący wzdłuż niewidocznej teraz kolejki liniowej Potem zerknąłem w tył, na kolorowy neon HAWANY. Na koniec na ciebie — i burknąłem: tak.

Fragment przygotowywanej do druku powieści „Uzdrowisko".

W PAMIĘCI

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

POLEGŁE WIERSZE

Tej książki, niestety, nie ma w mojej bibliotece. I w żadnej. Z całego dorobku *Wojciecha Mencla*, który zginął w powstaniu warszawskim mając ledwie 21 lat, ocalał nie skończony poemat dramatyczny *„Przed świtem"* — o Asyżu przełomu XII i XIII w. i przepięknej miłości młodziutkiego Franciszka (jeszcze nie świętego, twórcy zakonu żebraczego i poety) do Klary. Poemat ten ogłosił drukiem, grubo po okupacji, bo w 1965 roku, w „Życiu i Myśli", zasłużony pisarz i działacz, a szwagier Wojtka — Maciej Kononowicz. Ocalało też parę liryków z bardzo popularną w warszawskim podziemiu literackim *„Balladą o dwóch grajkach"*, kilka wypowiedzi liryczno-programowych we wciąż jeszcze unikatowych numerach *„Sztuki i Narodu"* (które to pismo słynnej grupy poetyckiej podziemia lat okupacji, mimo bardziej niż doniosła roli, jaką odegrało w życiu umysłowym i literackim najstraszliwszych czasów w dziejach Polski, nie może się jakoś doczekać reedycji); zostało też parę listów do narzeczonej Wojtka, Janiny Jędryki — jakże typowych dla poetyki tamtoczesnych wyznań miłosnych, bo przejmująco smutnych, choć inkrustowanych przednim dowcipem z dziedziny niezmiennie jeszcze w tamtych czasach nowatorskiego pur-nonsensu. Tyle tylko zostało, ponieważ manuskrypty poety, odnalezione zbyt późno w gruzach poległej Warszawy, okazały się już nie do odczytania. A więc nie ma na moim regale wsród książek — pamiątek epoki, obok tomów jego przyjaciół, Krzysztofa Baczyńskiego, Andrzeja Trzebińskiego, Waciawa Bojarskiego i Zdzisława Stroińskiego — książki Wojtka. Ci, którzy z nas przeżyli, posiadają jednak inne, również bardzo cenne dobra: pamięć przyjaźni, jaką obdarzał poetów i kolegów tajnego Uniwersytetu Warszawskiego oraz legendę jego niezwykle aktywnego i bohaterskiego życia — legendę, którą przekazał o tamtym pokoleniu, a i poźnawym już wnukom — pokaźna ilość wspomnień i książek eseistycznych o podziemnej poezji Warszawy w ogólności, a o poetach „Sztuki i Narodu" przede wszystkim: m. in. L. Bartelskiego *„Genealogia ocalonych"* i *„W kręgu bliskich"*, J. Szczawieja *„Ciosy"* t. I i II, zbiorowa książka *„Z dziejów tajnego Uniwersytetu Warszawskiego"*, M. J. Kononowicza *„Szyfr o ojczyźnie"*, T. Sołtana *„Fascynacje i motywy"* czy pięknie wydana zbiorowa pod redakcją J. Szczypki — której i ja jestem współautorem — *„W gałązce dymu, w ognia blasku"*.

Wojciech Mencel urodził się w 1923 roku, w rodzinie powszechnie szanowanej, w Pabianicach. To miasto i ciekawi ludzie, jacy w nim przed wojną działali oraz wyjątkowo korzystna atmosfera tamtejszego Gimnazjum im. Śniadeckich — mocno wpłynęły na rozwój osobowości poety. W 1937 Mencel przeniósł się z rodzicami i siostrą Krystyną do Warszawy, gdzie po tajnej, wojennej maturze wstępuje na polonistykę podziemnego uniwersytetu. Tam spotkaliśmy się w jednym z niewielkich liczebnie ze względów na bezpieczeństwo zespołów studyjnych, który miał potem dać narodowi m. in. trzech profesorów uniwersytetu oraz Tadeusza Borowskiego. Trzymaliśmy się na ćwiczeniach, kolokwiach i egzaminach razem i często przebywaliśmy ze sobą i poza studiami, jakkolwiek każdy z nas zaczepiony był w podziemiu w innym mieście i pełnił w nim inną funkcję.

Wojciech Mencel

Wojtek zjawiał się na ćwiczeniach zawsze przygotowany i starannie, mimo biedy okupacyjnej, ubrany, choć pracował jako stróż nocny na jednym z placów przemysłowych w rejonie dworca Wschodniego. Jakkolwiek była to praca w jakiejś mierze, jak i większość naszych „prac" dla arbeitskarty chroniącej przed wywózką do Rzeszy, nieautentyczna, bynajmniej nie była jednak lipna. Przeciwnie, ciężka i niezwykle nerwowa. Mencel służył w jednostce AK, wyspecjalizowanej w brawurowych nocnych włamywaniach się do odstawionych chwilowo na tory postojowe pociągów, towarowych, wysyłanych z Rzeszy na front wschodni i „dzieleniu się" ze spedytorami wysyłaną tam lekką bronią i aprowizacją. Zdobycze wzmacniały szczupły arsenał akowskiego podziemia. To Wojtek, jak mówią niektórzy z ocalałych, był współinicjatorem głośnej w tamtejszej Warszawie i opiewanej potem przez Wiecha akcji „żółw na rosół dla warszawian". Młodzi ludzie wypuścili bowiem do dyspozycji głodujących współziomków setki i tysiące tych wolno łażących, poniekąd symbolicznych dla okupacji stworzeń, które akurat Niemcy wieźli pod Stalingrad. Może z Grecji, może z Afryki?

Rozkochany w postaci św. Franciszka (była w tym niewątpliwie tęsnota za czasem, kiedy człowiek człowiekowi nie będzie już więcej wilkiem, miłości zaś nie będzie towarzyszyć ciągły strach o życie ukochanej), Mencel był od początków istnienia *„Sztuki i Narodu"* i jego pisma jednym z głównych poetów i działaczy tej historycznej grupy. Brał udział, zwłaszcza tuż przed powstaniem, w redagowaniu pisma, którego kolejni naczelni redaktorzy ginęli z rąk okupanta: założyciel pisma i grupy B. Kopczyński, W. Bojarski — śmiertelnie ranny podczas składania wieńca od Polski Podziemnej w czterystolecie śmierci Kopernika pod pomnikiem genialnego astronoma, A. Trzebiński i T. Gajcy — poległy w powstaniu wraz ze Stroińskim w obronie Starego Miasta. Mencel brał udział w większości tzw. „koncertów", tj. tajnych, a mimo to cieszących się ogromną frekwencją, spotkań autorskich w Warszawie, w których, poza nami, występowali nierzadko i pisarze starsi i głośni przed wojną, jak Iwaszkiewicz, Miłosz, Andrzejewski, Zagórski, Świrszczyńska. Często też zabierał głos w zebraniach dyskusyjnych, poświęconych stosunkowi literatury do niedawnej przeszłości, tragedii Września, przede wszystkim zaś do spraw służby narodowej i miejscu Polski w rodzącym się w konwulsjach wojny nowym świecie.

Poeci tamtego środowiska (a związany z nim był również dość silnie, choć trzymał się na uboczu od grup — K. Baczyński) nie traktowali swej jakże zaangażowanej, (że użyję dzisiejszego niefortunnego zwrotu rodem z Urzędu Pośrednictwa Pracy) poezji jako przeznaczonej do odbioru łatwego, uładzonego, nie wymagającego żadnego wysiłku od jak często u nas zupełnie nie przygotowanego czytelnika. Wyjątek w tej mierze może stanowiły przepiękne piosenki partyzanckie Bojarskiego (np. *„Natalia"*) i Trzebińskiego (*„A jeśli bzy już będą, to bzów mi przynieś kiść. I tylko mnie pocałuj, i nie broń, nie broń iść"*). Była to poezja intelektualna i o najwyższych ambicjach nowatorstwa artystycznego. Pamiętam, jak kiedyś, właśnie przeciwko wezwaniom do ściągnięcia jej, suwerennej, na ulice opanował z zarem Wojtek. Było to chyba w czerwcu 1944 roku. I oto w parę miesięcy potem ten sam Wojtek, mianowany wraz z wybiciem „Godziny W" dowódcą Patrolu Megafonów AK (coś w rodzaju przenośnej rozgłośni radiowej czy raczej radiowęzła o programie informacyjnym i mobilizacyjno-patriotycznym) stał się z miejsca bardem poezji właśnie na użytek pierwszej linii walki, poezji nie uczonej, poezji — pobudki.

Przedzierał się wraz ze swym plutonem radiofonizacyjno-wokalno-recytatorskim w pobliże terenów walk, nie zapomniał też o krzepiących audycjach dla zaplecza, zwłaszcza dla ludności cywilnej. Wraz z żołnierzami plutonu recytował na tle werbli i muzyki patriotycznej wszystko, co przekazała nam bojowego arcybogata w tej mierze nasza poezja narodowa oraz utwory nowe (w tym i słynne *„Warszawskie dzieci"* S. R. Dobrowolskiego). A i najnowsze, które Wojtek Mencel „prosbo-rozkazem" egzekwował od kolegów. Kilka ich ułożyła wtedy, jak wspomina po latach, Józefa Radzymińska, kilka M. J. Kononowicz, także żołnierz powstania. A ileż sam Wojtek napisał ich nocami w zmieniających się wciąż kwaterach! Te wiersze nigdy już jednak więcej nie dotrą do swych tamtoczesnych słuchaczy. Ani do ich poźnych wnuków. „Dnia 13.IX.44 — jak doniósł nekrolog w powstańczym piśmie „Barykada" — „Warszawa Walczy" — kapral-podchorąży Wojciech Mencel, dowódca Patriolu Megafon AK, poeta-żołnierz, w marszu ku Wielkiej Polsce padł od kuli wroga". O zniszczeniu ogromnej większości jego utworów była mowa już wyżej... Nieraz mówi się, że ktoś mężny poległ śmiercią sapera, ktoś lotnika. W tamtym jednak czasie byli też żołnierze, którzy polegli śmiercią poety. To przez bramę takiej śmierci odeszli wtedy od nas na tamtą stronę wieczności moi przyjaciele — Wojciech Mencel i Zdzisław Stroiński, koledzy — Baczyński, Gajcy, Krystyna Krahelska (tyle że pomnik jej — pozowała, jak wiadomo, do Syreny warszawskiej — ze wzniesionym mieczem strzeże nam w Warszawie Wisły). „W tamtych dniach Warszawa z niedostatku amunicji strzelała do wroga brylantami" — słynne to zdanie powiedział pierwszy, o ile wiem, nie prof. Wyka, któremu się je przypisuje, lecz poeta Jerzy Zagórski.

Czasem porównuję tamtych odeszłych z generacjami literackimi późniejszymi. W tym i z miasta fabrycznego nad rzeczką Jasień — w którym mieszkam od lat. Prawda, że czasy są inne i czas wystrzegać się odwiecznej idealizacji lat pierwiosnkowych. Mimo to nie jest to cieszące. Nie mogę się także nadziwić, że w mieście, w którym urodził się poeta-żołnierz, nie mogę się dopatrzyć od lat żadnego dowodu pamięci o nim, dumy z posiadania tego heroicznego młodzieńca w swych rejestrach metrykalnych. Żaden hufiec harcerski, żadna nawet drużyna nie obiera go za patrona. Nie ma nazwiska Mencla w spisie nazw ulic. Nie ma śladu pamięci na domu, w którym się urodził. O potego schematu! O braku nawyku samodzielniejszego myślenia i odczuwania! O niedostatku wiedzy o Czasie, wbrew częstym twierdzeniom, że przejadła się tematyka okupacyjna, lub wszystko o nim i o jego ludziach!

NASZA ROZMOWA

„...MUZYKA ZMIENIA LUDZI"

Rozmowa z prof. JÓZEFEM K. LASOCKIM z katedry wychowania muzycznego PWSM w Łodzi

— Panie profesorze, zacznijmy może od próby określenia: czym jest dziś i czym być powinno wychowanie muzyczne?

— Można chyba powiedzieć skrótowo, że najważniejszą sprawą jest to, ażeby człowiek „dorabiał się" kultury muzycznej. Temu wychowanie muzyczne ma służyć. Historia wyraźnie wskazuje, że w różnych epokach sztuka, a w tym i muzyka, miała i ma wyraźny wpływ na świadomość człowieka, na jakość jego życia. Można by na ten temat cytować poglądy filozofów, jak choćby Arystotelesa, który — jak wiadomo — zauważył, że „muzyka łagodzi obyczaje". Niewątpliwie muzyka zmienia ludzi, konstruktywnie oddziaływa na psychikę zarówno jednostek, jak i zbiorowości. Faktem jest np., gdy na sali sali koncertowej rozbrzmiewa jakieś wybitne dzieło muzyczne, to ludzie wychodzą z koncertu jak gdyby przemienieni duchowo. Coś widocznie ten utwór zdziałał, coś na pograniczu piękna i etyki.

Gdyby chciało się sformułować definicję, lub po prostu zadania wychowania muzycznego, można by do tego zagadnienia podejść z różnych stron. Podejściem bardzo humanistycznym byłoby wskazanie na relację międzyludzką: jeżeli ktoś poznał muzykę i orientuje się, jak wiele ona daje, jak wzmaga siły duchowe przynosi wypoczynek, odnowę, radość, nieomal — jak niektórzy twierdzą — szczęśliwość, to staje się jasne że jednostka tak odczuwająca muzykę pragnęłaby, aby i jego bliźni odczuł muzyczne wartości w podobny sposób.

— Z pewnością owo uczulanie, uwrażliwianie na muzykę nie przebiega w różnych okresach życia jednakowo...

— Wychowanie muzyczne ma w różnych okresach życia odmienne zadania i różną treść. Można używać muzyki jako środka pedagogicznego, służącego rozwojowi zdolności i osobowości. Ten aspekt wykorzystuje szkoła, zresztą w małym, jak dotąd, zakresie. Ale w dalszym, pozaszkolnym okresie rozwoju człowieka, rola muzyki polega już na czym innym. Głównie na wzbogacaniu psychiki poprzez przeżycie estetyczne, a nie przez intelekt. Stąd też wychowanie muzyczne należy traktować jako proces całożyciowy i to w dwu aspektach: ekspresyjnym i percepcyjnym. Tendencja ekspresyjna zmniejsza się z wiekiem. Młody człowiek chce być artystą, chce grać, śpiewać; natomiast dorosły, nawet wykształcony muzycznie profesjonalista, zaczyna więcej słuchać, zdaje sobie bowiem sprawę z wartości dzieł stworzonych przez wybitnych kompozytorów.

— Jednak nie miałaby chyba większego sensu próba określenia, która część wychowania muzycznego — ekspresyjna czy percepcyjna — jest w sumie ważniejsza?

— Obie są ważne. Trzeba się jedynie zastanowić nad położeniem akcentu, nad wzajemną proporcją elementów wychowania muzycznego wprowadzanych w różnych okresach życia. Generalnie biorąc głównym efektem wychowania muzycznego ma być nauczenie ludzi korzystania z dobrodziejstw, jakimi darzy nas muzyka. Może to mieć olbrzymie znaczenie dla tzw. higieny psychicznej, szczególnie w dzisiejszych czasach, kiedy cywilizacja tak często nas krępuje i przygniata.

— Jaki, zgodnie z pańską oceną, jest stan wychowania muzycznego w naszym kraju?

— Muszę stwierdzić, że mimo iż istnieje w Polsce wiele placówek zajmujących się upowszechnianiem muzyki, to jednak sama idea nie jest pojmowana zbyt głęboko. Wiemy, że muzyka spełnia w naszym życiu różne funkcje, np. ludyczną — co jest obecnie chyba najpopularniejsze — czy dekoracyjną. Ale rozumienie roli muzyki w kształtowaniu osobowości ludzkiej pozostawia wciąż wiele do życzenia. Nie wskazuje się na to, co muzyka mogłaby zdziałać tak jednostkowo, jak w skali szerszej, społecznej. Niewątpliwie procesowi wychowania muzycznego warto by dać jakąś bardziej pogłębioną, filozoficzną podstawę, i nie ograniczać się do dostrzegania w muzyce jedynie źródła prostej przyjemności. Wiele zależy tu od kwalifikacji działaczy kultury i nauczycieli. Należy wszakże powiedzieć, że są one wciąż niewystarczające. Weźmy choćby szkołę. Cieszymy się i chwalimy tym, że mamy tylu nauczycieli z wyższym wykształceniem. A przecież ogromna część z nich jest niemal analfabetami w dziedzinie sztuki, muzyki. Często zdarza się, że polonista ma na lekcji omówić, powiedzmy, czytankę o Moniuszce, Wieniawskim, Szymanowskim. Jak ma on z tego wybrnąć, jaki pozostanie z tej lekcji ślad, skoro sam nie zetknął się z kompozycjami powyższych twórców? To samo dotyczy też w jakimś sensie nadzoru pedagogicznego, od dyrektora szkoły wzwyż. Dopełnieniem obrazu jest zbyt mała ilość czasu przeznaczonego na wychowanie muzyczne oraz niezbyt przychylny stosunek środowiska szkolnego.

— Abstrahując już od szkoły: które z placówek byłyby predestynowane do skuteczniejszego rozbudzania zainteresowań i potrzeb związanych z muzyką?

— Wspomnę, że Kodaly zapytany: kiedy należałoby wprowadzać dziecko w świat muzyki, odpowiedział żartobliwie, że na 9 miesięcy przed urodzeniem. Jest to o tyle słuszne, że pewne cechy muzyki mogą oddziaływać na płód poprzez system nerwowy matki. Na pewno zaś należałoby położyć nacisk na wiek 3 lat, kiedy to kształtuje się słuch nie tylko werbalny, ale i tembralny, związany z wysokością i charakterem dźwięku. Mówię o tym dlatego, że wychowanie muzyczne winno być realizowane już w przedszkolu, a kto wie, może nawet i... w żłobku, gdyż aktywność poznawcza małego dziecka jest wyjątkowo duża.

Pomijając w tym miejscu szkołę można wymienić z kolei amatorski ruch chóralny, domy kultury, towarzystwa muzyczne, kluby miłośników muzyki itd. Jeżeli chodzi np. o stowarzyszenia śpiewacze, a również o amatorskie zespoły instrumentalne, to widać tam, niestety, zainteresowanie muzyką właściwie tylko pod kątem własnego repertuaru i własnych możliwości wykonawczych. A przecież i tu byłaby okazja do bardziej całościowego spojrzenia na muzykę, do organizowania form kontaktu z wartościowymi utworami. Akcentowałbym zatem potrzebę ściślejszego połączenia amatorskiej ekspresji muzycznej z percepcją, tak aby obcowanie z muzyką było bardziej harmonijne.

— Przejdźmy może do ognisk muzycznych, z którymi jako współzałożyciel i prezes Ludowego Instytutu Muzycznego jest pan szczególnie związany. Ich rola i specyfika są powszechnie znane. Co natomiast budzić może na tym polu zastrzeżenia i wątpliwości?

— Ogniska są poniekąd wynalazkiem LIM. Idea polegała na stworzeniu placówek, które poprzez grę na instrumentach, śpiew i słuchanie muzyki umożliwiałyby powszechne „dorabianie się" kultury muzycznej. Jednak dziś jeszcze idea ta nie jest w pełni realizowana. Mówiąc krótko — w ogniskach przeważa granie, kosztem słuchania. Ujawnia się tu jakby dążność do bycia za wszelką cenę artystą, do występowania; odzywa się reprezentowany przez uczniów i ich rodziców pogląd, że człowiek grający jest „kimś lepszym". Niestety często również nauczyciele w ogniskach nie odróżniają kształcenia zawodowców od wychowania muzycznego amatorów i stosują metodę zawodowych szkół muzycznych, przechylając zbytnio cały proces nauczania w kierunku ekspresyjnym.

Ogniska muzyczne z pewnością mogłyby spełnić większą jeszcze rolę, gdyby były odpowiednio traktowane przez władze. Nauczyciele ognisk formalnie nie otrzymali dotąd statusu nauczyciela. Nie ma też pomocy dydaktycznej, np. krajowe wydawnictwa nie są nastawione na tego rodzaju placówki i wolą obsługiwać wyższe rejony życia muzycznego.

— Po Kongresie Upowszechniania Kultury Muzycznej mówiło się i pisało nieco więcej o sprawach wychowania muzycznego. Co w aktualnych poglądach na ten temat nie budzi pańskiej aprobaty?

— Stosujemy z jednej strony systemy „uszczęśliwiania" ludzi, wprowadzania ich do kultury muzycznej, a z drugiej strony mało zwracamy uwagę na fakt, że właściwie człowiek powinien sam do tej kultury dochodzić. I jest tu jakaś zależność: jeżeli ktoś ma uświadomione potrzeby, jeżeli rozumie i chce, to będzie muzykę zupełnie inaczej traktować niż wtedy, gdy mu się ją narzuca, gdy się go poucza. Wydaje się np. wysoce kontrowersyjne wprowadzenie muzyki do szkół jako przedmiotu nauczania, z odpytywaniem, stopniami itd. Zapomina się przy tej okazji, że muzyka to nie wiedza, że wymaga ona innego podejścia. Wiedza i sztuka innymi chodzą drogami. Oczywiście trudno nie skorzystać ze szkoły jako tradycyjnej instytucji, jedynej w kształceniu młodzieży, tyle, że sposób wprowadzania muzyki winien być odmienny. Czasem dziwi mnie, jeśli niektórzy pedagodzy w wyższych szkołach, instytutach, głoszą hasło: nauczyciel wychowania muzycznego to przede wszystkim dydaktyk — muzyczne wykształcenie jest dodatkiem. Ja uważam, że jest akurat odwrotnie: nauczyciel, który zna muzykę, kocha ją, odczuwa jej dobrodziejstwa, potrafi i bez oficjalnej dydaktyki zapalić uczniów, dotrzeć do ich wrażliwości i wyobraźni.

Rozmawiał:
JANUSZ JANYST

W INTENCJI OBRONY PRAW MEGO KRAJU

8

HENRYK NAKIELSKI

Kolejnym dokumentem w aktach sprawy Profesora przeciwko *Tiborowi Petrysowi* o zniesławienie i obrazę jest *„Opinia sądowo-psychiatryczna w sprawie Tibora Petrysa (...) wydana na zlecenie Prokuratury Rejonowej dla Dzielnicy Warszawa-Śródmieście przez biegłych psychiatrów specjalistów lek. med. Mariana Tromskiego i dr med. Zdzisławę Truszczyńską-Wachowską i lek. med. Elżbietę Spasewicz oraz psychologa mgr Joannę Jeleńską na podstawie obserwacji klinicznej przeprowadzonej w okresie od dnia 4. 08. do dn. 30. 08. 1980 r. w Szpitalu Nowowiejskim w Warszawie".*

Opinia nosi datę 3. 09. 1980 r. i zawiera wiele niewątpliwie interesujących treści. Przytaczam obszerne jej fragmenty:

„Żona Tibora Petrysa poinformowała prokuratora, iż mąż w kwietniu 1980 r. przygotowywał podanie o przyjęcie go do pracy w AGH i po podania tego dołączył „dyplom doktora habilitowanego" spreparowany z wycinków gazet prasowych. Zaniepokojona tym faktem, namówiła męża na konsultację u lek. psychiatrii motywując to koniecznością leczenia go z bezsenności. Z historii choroby PZP w Krakowie wiadomo, że Tibor Petrys jest pacjentem poradni od 21. IV. 1980 r. z rozpoznaniem: Obs (psychopatia ew. zespół urojeniowy). W piśmie do Prokuratury lekarz prowadzący stwierdził, że pacjent zdradza objawy choroby psychicznej pod postacią zespołu urojeniowego i że nie może określić tła tych zaburzeń (podejrzewa przewlekłe podłoże reaktywne).

*(...). W dniu 18 lipca 1980 roku Tibor Petrys był zbadany w trybie ambulatoryjnym przez biegłych psychiatrów: Teresę Łosieczko i Mariana Tromskiego, którzy we wnioskach swojej opinii stwierdzili, że zaburzenia psychiczne Tibora Petrysa wymagają zdiagnozowania w warunkach szpitalnych. Postanowieniem z dnia 19 lipca 1980 r. Prokurator umieścił Tibora Petrysa na obserwacji w Szpitalu Nowowiejskim w Warszawie. (...). Od początku pobytu w szpitalu pacjent wyrażał obawy, że oddział jest otwarty, dostępny dla osób z zewnątrz. Podejrzewał, że osoby, które śledziły jego dom w Krakowie, przeniosą się za nim na teren Warszawy. „Ja tu trafiłem do nich, zamiast się odizolować". Poinformował lekarzy, że otrzymał wyrok Sądu Obywatelskiego, „wyrok mafii", *), którego przewodniczącym ustanowił się prof. Groszkowski i że działanie mafii ma na celu zniszczenie go materialnie, moralnie i fizycznie. Podobnie obawiał się o życie syna, które to w ostatnim czasie starał się zabezpieczyć ograniczając jego swobodę poruszania się. M. in. napisał do ministra spraw wewnętrznych z prośbą o roztoczenie opieki nad synem, Pawłem, „który zgodnie z planem w/w mafii może być poddany akcjom unicestwienia jako członek rodu Petrysów (ostatni)". (Dla wyjaśnienia podaję skład „mafii": prof. dr Janusz Groszkowski, prof. dr Szczepan Pieniążek, prof. dr Jan Szczepański oraz prof. dr. Janusz Tymowski. Ci czterej uczeni utworzyli bowiem w 1975 roku wspomniany Sąd Obywatelski, który wydał wyrok uniewinniający doc. Hankus na rok przed jej urzędową rehabilitacją przez Sąd Najwyższy — H. N.).*

(...). W tajemnicy przekazał informację psychologowi, że sprawdzał w portierni szpitalnej, czy na teren szpitala nie przychodził prof. Groszkowski, pokazywał jego fotografię (profesor liczy sobie obecnie 83 lata — dop. H. N.). Ze swych niepokojów zwierzał się tylko pojedynczym osobom, dopytując się, komu można by zaufać w oddziale. W pierwszym okresie pobytu prosił o niepodawanie środków nasennych, ponieważ musi czuwać w nocy. (...). Relacje bad nego dotyczące historii życia były przerywane licznymi dygresjami, płaczem i nawiązywały uporczywie do tematu prześladowań. (...). Dnia 27. 08. odbyło się badanie komisyjne z udziałem prof. H. Wardaszko, doc. A. Piotrowskiego i dyr. M. Tromskiego. W czasie badania pacjent zachowywał się podobnie, jak w czasie poprzednich rozmów. Był płaczliwy, powracał do tematu prześladowań ze strony „mafii". Tłumaczył się, że w okresie leczenia w PZP w Krakowie od wiosny 1980 roku był mniej zemocjonowany i spokojniejszy. Swój stan psychiczny ocenił jako „zaburzenia emocjonalne". Dopytywał się, czy lekarze uważają go za chorego psychicznie, protestował przeciwko traktowaniu go jako paranoika, przyznając, że w okresie, kiedy pisał odpowiedź na pozew (tzn. pismo, w którym obraził i zniesławił Profesora — H. N.), pewne rzeczy oceniał „w sposób zmieniony". Potwierdził swoje obawy o siebie i syna, początkową nieufność wobec personelu oddziału. W domu, wobec dzieci i osób postronnych nie ujawniał swoich obaw — zwierzył się jedynie swej żonie. Po zbadaniu komisyjnym, wdrożono leczenie małymi dawkami Terciani. Pacjent znosił lek dobrze, obserwował poprawę snu i złagodzenie nadmiernych reakcji emocjonalnych. Wypisany został z zaleceniem kontynuowania leczenai w PZP w Krakowie.

(...). Badanie sprawności umysłowej wskazuje na wyższy od przeciętnego poziom inteligencji. (...). Badanie psychologiczne nie zawiera danych wskazujących na obniżenie sprawności umysłowej typowe dla organicznych zmian o.u.n. (wyniki specjalistycznych testów mieszczących się w granicach normy).

Wnioski:

Podstawą skierowania Tibora Petrysa na obserwację sądowo-psychiatryczną było badanie przeprowadzone w trybie ambulatoryjnym w dniu 18. VII. 1980 r. Biegli na podstawie akt sprawy, badania i wywiadu żony stwierdzili, że zdradza on zaburzenia emocjonalne oraz wypowiada treści mające znamiona urojeń prześladowczych. (...). Od około co najmniej roku badany zaczął wypowiadać treści świadczące o patologicznej ocenie zachowań otoczenia. Uważał, że jest śledzony przez „mafię", która chce go zniszczyć moralnie i fizycznie. (...). Obserwacja szpitalna wykazała istnienie u Tibora Petrysa psychozy reaktywnej manifestującej się zaburzeniami treści myślenia w postaci jednokierunkowych urojeń prześladowczych ze znaczną komponentną zaburzeń nastroju. Punktem wyjścia dla treści urojeniowych stał się wyrok „Sądu Obywatelskiego". W okresie objętym zarzutem Tibor Petrys znajdował się w stanie rozwijającej się psychozy. Jego ocena własnej sytuacji prawnej i działania podjęte w tym czasie wynikały z przesłanek chorobowych. Ten stan psychiczny w odniesieniu do czynu, o jaki Tibor Petrsy jest podejrzany, znosił jego zdolność rozumienia znaczenia i kierowania swoim postępowaniem. Stan psychiczny Tibora Petrysa nie stanowi poważnego zagrożenia dla porządku prawnego".

Opinię tę wspierają swoim autorytetem: kierownik I Kliniki Psychiatrycznej Instytutu Psychoneurologicznego w Warszawie prof. dr Jan Jaroszyński i z-ca dyr. ds. działalności podstawowej prof. dr hab. Stanisław Pużyński. W piśmie datowanym 9. 10. 1980 r. piszą do Prokuratury Wojewódzkiej:

„Zgodnie z pismem Prokuratury Wojewódzkiej (...) z dnia 16 września 1980 r. zapoznaliśmy się z aktami sprawy przeciwko Tiborowi Petrysowi, a w szczególności z opinia sądowo-psychiatryczną. (...). Po zapoznaniu się z powyższymi danymi dochodzimy do wniosku, że opinia w sprawie Tibora Petrysa oparta jest na dokładnej analizie akt sprawy, obfitym materiale anamnestycznym, prawidłowo przeprowadzonych badaniach i obserwacji szpitalnej. W świetle tego zarówno rozpoznanie, jak i ostateczna konkluzja dotycząca poczytności Tibora Petrysa nie budzą zastrzeżeń".

Prof. *Groszkowski* ocenia ową opinię nie kryjąc dobrego humoru (jak długo można się oburzać?). Przyczyny zaburzeń psychicznych *Petrysa*, których nie mógł określić *„lekarz prowadzący"*, choć podejrzewał, że mogą one mieć *„przewlekłe podłoże reaktywne"*, zaburzeń psychicznych, które dzięki wysiłkowi znacznego zespołu wybitnych lekarzy, udało się wreszcie zdiagnozować jako *„psychozę reaktywną manifestującą się zaburzeniami treści myślenia w postaci jednokierunkowych urojeń prześladowczych ze znaczną komponentną zaburzeń nastroju"*, Profesor wyjaśnia następująco: *„W sierpniu 1979 roku dochodzi do ostrego konfliktu wewnątrz gangu Petrysa. We wrześniu namawia on swoich przyjaciół Bożenę D. i jej męża do porwania swojego przyjaciela Mieczysława Ch. i do wymuszenia odeń torturami informacji o miejscu ukrycia złota i dewiz wartości 12 mln zł skradzionych Bożenie D. oraz proponuje wynajęcie dwóch mężczyzn, którzy mieliby tego dokonać. Radził im — jak zeznała Bożena D. „łamać Ch. lewą rączkę, a potem prawą rączkę, aż się przyzna". Dnia 25 września 1979 roku Mieczysław C. zostaje na ulicy zaatakowany przez dwóch dotychczas niezidentyfikowanych osobników gazem obezwładniającym, przemocą uprowadzony w samochodzie i torturowany w podziemiach ustronnej willi, gdzie m. in. topiono go w wannie. Sprawa wychodzi jednak na jaw. (...). Dnia 23 lutego 1980 r. T. Petrys zostaje aresztowany w sprawie o namawianie do porwania i tortur i przez 7 tygodni przebywa w areszcie, który opuszcza dopiero 11 kwietnia 1980 r. Wie już, że będzie ścigany w sprawie o namawianie do porwania i tortur, ale dużo groźniejsza jest dlań sprawa o ponowne znieważenie w mojej osobie Rady Państwa, wszczęta przez prokuraturę z polecenia prezesa Rady Ministrów (recydywa — dop. H. N.). Postanawia uzyskać wariackie papiery i w tym celu dnia 21 kwietnia 1980 roku udaje się po raz pierwszy w życiu do psychiatry. „Cierpi" na stany lękowe, które łatwo symulować (...). Po miesiącu zawiadamia o swych lękach prokuraturę warszawską, ta zaś natychmiast posyła go na badania psychiatryczne, ale zataja przed biegłymi akt oskarżenia zarzucający Petrysowi namawianie do porwania i tortur, gdyż stany lękowe przy porwaniu i torturach wyglądałyby komicznie. Aby zaś prokurator krakowski lub sąd rozpatrujący tamtą sprawę nie porozumieli się na własną rękę z biegłymi, prokurator warszawski nie powiadamia ani swego kolegi w Krakowie, ani sądu tamże o zarządzonym badaniu psychiatrycznym. (...). Petrys godzi się skwapliwie na badania i sam na nie przyjeżdża z Krakowa do Warszawy. Rozpoczyna podwójną grę, gdyż w tym samym czasie zmuszony zostaje do obsłużenia dwóch różnych zespołów, które nic o sobie nie wiedzą i przed którymi musi się odmiennie zachowywać. Błyskawicznie przerzuca się z Krakowa do Warszawy i z powrotem, wykorzystuje przerwy w procesie (w Krakowie) i przychylność biegłych (w Warszawie), którzy w kwestii terminów badań lub wypuszczenia go ze szpitala idą mu całkowicie na rękę. W Krakowie przed sądem odgrywa rolę Mr Hyde'a — jest butny, zuchwały i brutalnie atakuje akt oskarżenia i obciążających go świadków. W Warszawie zmienia się w szlachetnego i lękliwego dra Jekylla wypłakującego biegłym swe strachy przed prześladującą go „mafią". W takich okolicznościach powstaje opinia stwierdzająca, iż Petrys pisząc swój paszkwil na mnie cierpiał na stany lękowe i miał z tego powodu zniesioną poczytalność"...*

Dnia 18. 11. 1980 r. w procesie krakowskim zapada wyrok. Sąd Powiatowy dla Krakowa — Krowodrzy wymierza *Tiborowi Petrysowi* za namawianie do porwania i tortur karę półtora roku więzienia. Wyrok nie jest prawomocny i wkrótce odbędzei się rozprawa rewizyjna przed Sądem Wojewódzkim.

Ryc. Andrzej Tylczyński

*) Wyrok

W dniu 19 lutego 1975 r. SĄD OBYWATELSKI w składzie:
Prof. JANUSZ GROSZKOWSKI — przewodniczący;
Prof. SZCZEPAN PIENIĄŻEK;
Prof. JAN SZCZEPAŃSKI;
Prof. JANUSZ TYMOWSKI,

po rozpoznaniu sprawy doc. dr hab. inż. Aleksandry Hankus b. dziekana Wydz. Mat. Fiz. Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie szykanowanej przez 11 lat za napisanie skargi protestacyjnej przeciw przywłaszczeniu pracy naukowej i próbie wyłudzenia stopnia doktora habilitowanego, orzeka, że należy:

1. **uniewinnić doc. Hankus** od zarzutu zniesławienia T. Petrysa z powodu udowodnienia mu przywłaszczenia pracy naukowej, próby wyłudzenia stopnia doktora habilitacyjnego i niegodnego pracownika nauki zachowania się,

2. **wyrazić solidarność** z meritum wystąpień doc. Hankus w tej sprawie,

3. **wyrazić najwyższe ubolewanie** z powodu uporczywego niedopuszczania dowodów świadczących o słuszności zarzutów i niewinności doc. Hankus,

4. **spowodować całkowitą rehabilitację doc. Hankus** i dać zadośćuczynienia w związku z uczynionymi jej krzywdami,

5. **pozbawić T. Petrysa stopnia naukowego** nadanego mu przez polską wyższą uczelnię.

Uzasadnienie: —

W roku 1964 doc. dr hab. inż. **Aleksandra Hankus** skierowała do władz Politechniki Krakowskiej skargę zarzucającą dr. T Petrysowi przywłaszczenie wyników pracy zespołu, próbę wyłudzenia stopnia doktora habilitowanego i niegodne pracownika nauki zachowanie się. Złożenie tej skargi stało się powodem trwających 11-ty rok szykan, wyroków dyscyplinarnych i sądowych, skazujących doc. **Hankus** za zniesławieniet dr **Petrysa.**

Zgłoszone przez doc. **Hanksu** dowody, fakt unieważnienia przywłaszczonej przez **Petrysa** pracy, ekspertyzy prof. **Tomassiego** i doc. **Pokrasena** oraz wyroki skazujące **Petrysa** za różne oszustwa, skłoniły nas do utworzenia Sądu Obywatelskiego zbadania prawdziwości wysuwanych wobec doc. **Hankus** zarzutów i podjęcia kroków zmierzających do sprawiedliwego i zgodnego z interesem nauki polskiej rozstrzygnięcia.

Po zbadaniu akt i posiadanych przez nas innych miarodajnych dokumentów o działalności **T. Petrysa** w Polsce stwierdzamy jednomyślnie, że doc. **Hankus** udowodniła **Petrysowi** przywłaszczenie wyników zespołowej pracy naukowej, podjęcie próby wyłudzenia stopnia doktora habilitowanego oraz niegodne pracownika nauki zachowanie się, przy czym słuszność zarzutów doc. **Hankus** była jasna i oczywista od samego początku powstania sprawy.

Stwierdzamy dalej, że kierując swą skargę do uprawnionej do jej rozpoznania władzy, doc **Hankus** działała w interesie nauki i w obronie dobrych obyczajów życia naukowego, spełniając swój prawny i moralny obowiązek wynikający z funkcji pracownika nauki. Solidaryzujemy się całkowicie z merytoryczną stroną jej wystąpień i wyrażamy uznanie za nieugiętą postawę i walkę jaką podjęła w obronie dobrego imienia nauki polskiej.

Sąd Obywatelski potępia działania na szkodę doc. **Hankus**, a zwłaszcza wytoczenie jej postępowania dyscyplinarnego, uporczywe niedopuszczanie dowodów jej niewinności oraz wydanie na jej szkodę fałszywych opinii, a w tym bardzo pochlebnej dla **Petrysa**, a niezgodnej z prawdą opinii podpisanej przez rektora Politechniki Krakowskiej, noszącej datę 9 kwietnia 1974 r.

Biorąc pod uwagę przewinienia **T. Petrysa**, udowodnienie mu przywłaszczenia wyników pracy naukowej, niegodne pracownika nauki zachowanie się, dostarczone nam dowody różnych jego oszustw, próbę wyłudzenia stopnia doktora habilitowanego, ukrycie przez Petrysa dyskwalifikującej przywłaszczoną pracę opinii i uchylenie się od jej ujawnienia i przedyskutowania, co jest powinnością pracownika nauki, Sąd Obywatelski uważa, że dr **T. Petrys** powinien być pozbawiony stopnia naukowego, wydanego przez polską wyższą uczelnię i prawa do pracy w szkolnictwie wyższym.

Sąd Obywatelski zwraca się do rozpoznających sprawę doc. **Hankus** instancji, aby dopuściły i uwzględniły całość dokumentów i dowodów jej niewinności oraz dały zadośćuczynienie za wyrządzone jej krzywdy.

Podpisali: JANUSZ GROSZKOWSKI, SZCZEPAN PIENIĄŻEK, JAN SZCZEPAŃSKI, JANUSZ TYMOWSKI.

KONIEC

POETA Z WYSPY UKOJENIA

Od lat szperam po zakamarkach literatury — odnajduję zapomniane nazwiska, lub nieznane szczegóły; łączą się te drobinki w całości nieraz zdumiewające. Nieraz jeden fakt, jedna notka odnaleziona gdzieś w przypisach sprawia, że zaczynam szperać od nowa.

Oto w dziele **„Neoromantyzm polski" Juliana Krzyżanowskiego** znalazłem biogram **Ludwika Szczepańskiego.** Od dziecka „chodził" za mną jego wiersz „Żegluga", zaczynający się od słów:

„Wśród oceanu czarnej kawy
Płynę do wyspy Ukojenia..."

Udało mi się nawet przed laty kupić tomik **„Pieśni i hymny"** Ludwika Szczepańskiego, tomik z roku 1897, wydany nakładem lwowskiej Księgarni Polskiej. Wiersz „Żegluga" zdobył u schyłku minionego wieku sporą popularność, był swego rodzaju manifestem modernistów, nie takim co prawda jak „Eviva l'arte" Tetmajera, ale jednak...

Ludwik Szczepański wszedł do historii literatury za sprawą dwu faktów — dzięki „Żegludze" właśnie i — przede wszystkim — dzięki temu że założył w 1897 roku czasopismo **„Życie"**, organ polskich modernistów. Potem Szczepański redagował w Krakowie inne pisma, jak choćby znakomitą **„Ilustracje Polską".** Był zresztą pionierem fotografii prasowej w Polsce oraz pionierem modnej dziś... parapsychologii. Był też jednym z pierwszych dziennikarzy radiowych.

W czasie ostatniej wojny i okupacji prowadził w Krakowie antykwariat zaraz za rogiem ulicy Sławkowskiej (przy dzisiejszej ulicy Solskiego) i jego sklepik nafaszerowany był podziemnymi wydawnictwami, które ponad 70-letni Szczepański osobiście kolportował.

Mieszkał na przedmieściu Krakowa o nazwie Łagiewniki, gdzie udzielał schronienia przyjaciołom pochodzenia żydowskiego. Gdy na skutek donosu osoby te — a także sam Szczepański — znalazły się w niebezpieczeństwie — staruszek przeszedł wraz z nimi Tatry, a była to ciężka zima 1943 i zakonspirował się na Węgrzech wraz z podopiecznymi.

Do rodzinnego Krakowa wrócił zaraz po wyzwoleniu. Początkowo prowadził antykwariat na rogu ul. Basztowej i placu Kleparskiego — pisywał też do gazet, wydał ludowe jasełka... Mieszkał nadal na przedmieściu Łagiewniki. Mając lat 82, schorowany i bezsilny wobec choroby, stary bard Młodej Polski popełnił samobójstwo. Popłynął do swojej wyspy Ukojenia...

Na pewno te ostatnie lata były dla niego ciężkie, tak jak w ogóle ciężkie były lata pięćdziesiąte dla pisarzy. Na pewno żył skromnie, ale...

Biogram z książki „Neoromantyzm polski" głosi: **„Ostatnie lata spędził w skrajnej nędzy. Mieszkał w Łagiewnikach pod Łodzią".**

Autorkami tej bzdury są panie polonistki **Teresa Komorowska** i **Maria Bokszczanin.** Niewykluczone, że są to łódzkie polonistki, którym Łagiewniki kojarzą się tylko z Łodzią. Ale jeśli nawet paniom tym dyplom historyka literatury wydał Uniwersytet Łódzki — to przecież wystarczyło sięgnąć po dwie książki, aby uniknąć kompromitacji. Pierwsza książka to wspomnienia **Witolda Zechentera „Upływa szybko życie"**, druga książka to... książka telefoniczna Warszawy. Znaleźć w niej można było numer do syna poety **Jana Alfreda Szczepańskiego,** pisarza, publicysty i recenzenta teatralnego.

Tadeusz Boy-Żeleński, przyjaciel i rówieśnik Szczepańskiego pisał kiedyś, że „polonistyka od pana Zagłoby przekracza miarę przysłowiowej cierpliwości papieru". Pod tym względem niewiele się zmieniło.

WIDOK

PŁOT

Kilka dni temu w „Życiu Warszawy" Marek Przybylik doniósł Czytelnikom o niebywałym odkryciu. Na polach Natolina, Wolicy, Kabatowa stoi płot. Nie jest to płot byle jaki. Jest to płot gigant. Jego długość wynosi 3.276 metrów. Koszt budowy: około 18,5 miliona zł. Dla wybudowania płotu wywłaszczono 50 ha gruntów ornych i sadów. W większości należących do SGGW. Płot zaczęto budować w 1977 roku. Budowa miała być ukończona w 1980 roku, ale coś temu przeszkodziło.

Kto wpadł na tak genialny pomysł, aby wybudować taki płot gigant?

Inwestorem był Urząd Rady Ministrów, podinwestorem, Dyrekcja Rozbudowy Miasta Warszawa-Południe. Płot budowali robotnicy, technicy i inżynierowie z kieleckiego „Budopolu".

Po co?

I tego właśnie nikt nie wie. Na to pytanie nie udało się jeszcze znaleźć odpowiedzi.

Przyznam się, że swego czasu wszelkie rozliczeniowe żądania traktowałem trochę nieufnie. Sądziłem, że chodzi więcej o rozróbę, niż o sprawiedliwość. Dziś myślę inaczej. Dziś — po prostu — widzę źródła i przyczyny tych rozliczeń. To już nie chodzi o to, że jakiś maniak gigantomanii wpadł na absurdalny pomysł budowania płotu giganta, którym nie wiem kogo chciał od kogo odgrodzić. To nie o to chodzi. Rzecz ma znacznie głębsze podłoże. Po prostu zostało naruszone społeczne poczucie sprawiedliwości. I tylko w takich kategoriach trzeba ten nurt rozliczeniowy widzieć. Bo wcale nie jest tak, że nagle Polacy stali się narodem mściwym. Nie o zemstę tu chodzi. Chodzi o coś więcej. Chodzi o swego rodzaju gwarancję rozumianą w sposób plebejski. Kołacze gdzieś tu legenda o tych, którym rękę ucięliśmy za to, że sięgnęli po cudzą własność. Kołacze tu podziw dla innych nacji, gdzie można portfel z grubą gotówką zostawić na stoliku w restauracji i nikt nie ruszy, bo wszyscy sądzą, że właściciel zaraz wróci. My tacy nie jesteśmy, ale bardzo chcielibyśmy być. Chodzi więc o to że — tak myślą ludzie — jak ukarze się winnych, którzy sięgnęli po społeczną własność, którzy naruszyli społeczne poczucie sprawiedliwości i chcieli żyć kosztem społeczeństwa, i to żyć lepiej niż żyło to społeczeństwo, o wiele lepiej, to inni, którym kiedyś przyjdzie taka ochota, długo się przedtem będą zastanawiali. I być może cofną się w ostatniej chwili.

Wiele mówi się o tym, że władza musi być poddawana społecznej kontroli. Powszechne jest domaganie się instytucjonalnych gwarancji, że tak będzie. Co więcej, żąda się powołania Trybunału Stanu, aby stał niejako na straży praworządności, był gwarancją tego, że ukarany będzie nie tylko ten, kto ukradnie społeczną śrubkę ale i ten, kto nadużyje społecznego zaufania. To jest jeden nurt. Nazwijmy go instytucjonalny. Jego zwolennicy główny nacisk kładą na formalne stworzenie warunków uniemożliwiających wszelkie sprzeniewierzenie się społeczeństwu.

Ale jest i drugi nurt. Nazwijmy go ideologicznym. Jego zwolennicy pytają przede wszystkim o ideowe motywacje. Nie jest to pytanie bez sensu. Trudno mi bowiem zrozumieć, że ktoś, kto umie myśleć dialektycznie, kto rozumie istotę marksizmu, kto śmie nazywać się komunistą, może w jakikolwiek sposób wystąpić przeciw klasie robotniczej, której powinien służyć, z której się wywodzi. Zresztą nie rodowód tu jest akurat ważny. Ważny jest natomiast klasowy punkt widzenia. Nie w deklaracjach, a w działaniu. To przecież marksizm uczy, że sprawdzianem wszelkich teorii i koncepcji jest praktyka.

Spójrzmy teraz w przeszłość. Czy wielu naszym działaczom różnych szczebli można przypisać klasowe motywacje, klasowy punkt widzenia? Czy ich działanie służyło obiektywnie, a nie w deklaracjach i intencjach, klasie robotniczej, innym klasom i warstwom, społeczeństwu? Nie. Służyło przede wszystkim im samym. Było działaniem umotywowanym egoizmem, a nie motywacjami ideowymi, klasowym punktem widzenia.

Ktoś powiedział kiedyś, że w przeszłości było u nas „drobnomieszczańskie odchylenie". Teza ta nie przekonywała mnie. Ale w miarę poznawania przeszłości, tej najbliższej, w miarę poznawania różnych faktów, teza ta trafia mi coraz bardziej do przekonania. Nie ma wątpliwości, wielu byłych działaczy różnych szczebli ulegało drobnomieszczańskim motywacjom. Ale widzę je nie tylko w tym, że dążyli wszelkimi sposobami do zaspokajania swoich egoistycznych zachcianek, że robili to kosztem społeczeństwa, że marnowali nasz wspólny dobytek. Widzę to przede wszystkim w oderwaniu się od klasy, w zatraceniu klasowego punktu widzenia, w odejściu na pozycje warstw pośrednich, które jeszcze nie zapomniały o robotniczym pochodzeniu, ale które już marzą o burżuazyjnym panowaniu nad swoją klasą. Drobnomieszczaństwo zawsze twarzą zwraca się ku burżuazyjnym ideałom.

MARCIN RODAK

190 LAT TEMU I DZIŚ

Flagi o barwach narodowych, które zawisły na frontonach domów pod koniec ubiegłego tygodnia, tym razem nie trzepotały „przeciw" nie były wyrazem solidarnego protestu, nie zapowiadały jeszcze jednego konfliktu. Można powiedzieć, że w pierwszych dniach maja odzyskały swoją naturalną i podniosła symbolikę. Bo i majowe święta miały w tym roku naturalny i właściwy charakter. Z życzeniem „wesołych świąt" rozstawali się łodzianie w czwartkowe popołudnie. Życzenie to miało brzmieć żartobliwie, zawierało jednak rzeczywiste, przypisane świątecznym nastrojom, treści. I gdyby nie jakiś kolejny Caruso zarządzania, który nie potrafił zapewnić mieszkańcom Łodzi chleba na trzy wolne od pracy dni (nie mówię o innych niedomaganiach handlu i zaopatrzenia, boć to przecież rzecz zwyczajna), święta upłynęłyby „w serdecznej i przyjacielskiej atmosferze".

Ów świąteczny nastrój, a i wygrany mecz eliminacyjny o udział w piłkarskich mistrzostwach świata (telewizyjne halo wokół chorzowskiego zwycięstwa uznaję za przedwcześnie optymistyczne: przecież reprezentacja w dalszym ciągu nie istnieje) nakazywałaby łaskawsze spojrzenie na program telewizyjny ubiegłego tygodnia. Ale i spojrzenie całkiem obiektywne na to co oglądaliśmy — jeśli ma być sprawiedliwe — nie powinno być dla TVP krytyczne. Pochwalmy telewizję od czasu do czasu: może będzie to lepszy sposób, niż ciągłe nagany, na naprawę tej instytucji.

Otóż dwie audycje zwracały swoją uwagę na początku minionego tygodnia. Obie prowadził (czy to przypadek?) redaktor Andrzej Lubowski. Pierwsza nadana w poniedziałek, była formą dyskusji „komisji mieszanej" na temat „czy i jak zaciskać pasa?". Przyznam się, iż program ten (stymulowany wypowiedziami rzecznika „Solidarności" Bugaja) rysował nasze perspektywy na przyszłość w barwach jednoznacznie czarnych. Że trzeba będzie zacisnąć pasa, to rzecz bezdyskusyjna. Najtrudniejsze będą metody przesuwania ekonomicznej sprzączki. Druga audycja, nadana we wtorek w cyklu „Forum ekonomistów", dotyczyła reformy gospodarczej (aktualny stan prac, etapy jej wprowadzania, perspektywy realizacji itp.). Choć i w tym przypadku pytania dziennikarzy nie były łatwe (dziś łatwo o trudne pytania!) odpowiedzi przewodniczącego komisji przygotowującej reformę — dla mnie, przecież laika — miały charakter klarowny, oparty o racjonalne przesłanki, jakoś optymistyczne. Zdaje się, że jedna i druga audycja, wprowadzały nas w prawdziwe konteksty naszej obecnej sytuacji. A ponieważ sytuacja ta nie jest prosta, to i prawda o niej musi być skomplikowana.

I Dziennik telewizyjny jakby nabrał oddechu. Oby na stałe. Może sprawiły to, toczące się w ubiegłym tygodniu, obrady plenarne Komitetu Centralnego? Redaktorzy, prowadzący DT częściej odwoływali się do informacji własnych dziennikarzy, a i przekazywane informacje miały jakby wiarygodniejszą treść, bo opartą o dokumentację filmową. Jednym słowem miało się wrażenie, że widok z placu Powstańców jakby znacznie się poszerzył. Niedzielne wydanie o 19.30 nawet na tym odrobinę ucierpiało: embarras de richesse zarówno jeśli chodzi o liczbę prowadzących jak i ilość informacji. Wolę jednak taki dziennik niż suche odklepanie wiadomości agencyjnych z ponurą miną.

Wracając do obsługi X Plenum: i w tym przypadku telewizja rozszerzyła swój serwis informacyjny. Mimo jednak pięciu wydań dziennika, bezpośrednich łączeń z sala obrad, należy uznać tę obsługę za niewystarczającą. Wiem, że obrady trwały do czwartej rano, wiem że pierwsze kroki w transmitowaniu tego typu posiedzeń do najłatwiejszych nie należą (tv ma swoje i nie swoje ograniczenia), jednak można było oczekiwać nie tylko skrótowych omówień poszczególnych mówców. Tym bardziej, że gazety następnego dnia ukazały się ze znacznym opóźnieniem, że głosy dyskutantów drukują do dnia dzisiejszego (poniedziałek 4 maja). Nie tylko w tym przypadku sprawdza się zasada, że kto informuje szybko, ten naprawdę informuje.

Potem przyszły dni świąt. 1 Maja obchodzono w tym roku „skromnie lecz z godnością". Ta opinia dziennika tv namolnie powtarzana straciła swoją rzeczywistą treść, a stała się — właśnie przez powtarzanie — oficjalnym sloganem. Umiar stylistyczny jest nie tylko walorem dobrej retoryki perswazyjnej. Po latach propagandowego rozbuchania słów przyciszony ton staje się bardziej prawdziwy. No i 3 Maja. Wreszcie odebrano tej rocznicy jakiś dwuznaczny charakter. Że na powrót przypomniano we właściwej formie wydarzenia sprzed 190 lat, to nie tylko sprawa rewindykacji naszych tradycji historycznych. Tekst Ustawy Rządowej z roku 1791, który przemówił w całej swojej pełni, brzmi dzisiaj nie tylko jak archiwalny dokument z przeszłości. Staje się dla nas, dziś w maju 1981 roku, pouczającą paralelą historyczną. W taki właśnie sposób słuchaliśmy Tadeusza Łomnickiego, który w Sali Senatorskiej Zamku Królewskiego odczytywał tekst Konstytucji przed najwyższym forum władzy. Tak odbieraliśmy wystąpienie Henryka Jabłońskiego na uroczystości w Teatrze Wielkim. Ten ton podjął również autor i realizator widowiska „3 Maja" z 1976 roku, powtórzonego w niedzielny wieczór. Jak nigdy dotąd, historia i współczesność połączyły się w narodowym doświadczeniu, które niechaj będzie nie tylko okolicznościowym, odświętnym i rocznicowym epizodem, zapomnianym jutro.

Telewizja poświęciła 190 rocznicy wiele audycji. Dobrze, że wszystkie one miały określony walor poznawczy, że nie stały się oficjalnym obrządkiem. Może jedynie można byłoby mieć pretensje do tych niedzielnych „przerywników" nazwanych Na Trzeci Maja". Spełniały, jak mi się wydaje, rolę świątecznego ornamentu — trzeba przyznać — starannie przygotowanego, ale czy były oglądane? Tu mam wątpliwości. „Dzięki" nim znakomite widowisko Grzegorza Królikiewicza (chwalono je powszechnie już po premierze, zatem nie poszerzam o nim swojej opinii) przesunięto na północ, z niedzieli na poniedziałek, odbierając mu znaczny procent widzów.

GRZEGORZ GAZDA

RÓŻOWA JUTRZENKA

W 190 rocznicę uchwalenia i zaprzysiężenia przez króla i stany sejmujące ustawy konstytucyjnej, dokumentu mądrego i przepojonego jak mało który inny duchem patriotyzmu i troski o przyszłość ojczyzny Telewizja Polska wznowiła widowisko dokumentalne Grzegorza Królikiewicza „Konstytucja 3 Maja". Ten barwny fryz historyczny, zrodzony z wielkiej pracy dokumentacyjnej koncepcyjnej i artystycznej, zrealizowany z rozmachem i wielkim nakładem kosztów, przemknął się w 1976 roku przez ekrany telewizorów, wyemitowany — o ile mnie pamięć nie zwodzi — wstydliwie w II programie, by powrócić na nie dopiero po pięciu latach.

Już przy okazji niedawnej premiery sztuki Urbankowskiego „Nie tylko przetrwać", która tak żywą wzbudziła dyskusję, pisałem o manipulacjach jakim niesławnej pamięci kierownictwo Radiokomitetu poddawało próby artystyczne Królikiewicza dokonywane w ramach krótko egzystującego kierowanego przez niego Teatru Faktu. Nie będę więc do tego wracać. Jedno pewne trzeba było ruchu odnowy w całym kraju i przewietrzenia zatęchłych pomieszczeń przy ulicy Woronicza, by widowisko Królikiewicza o konstytucji powrócić mogło do programu w pełnych światłach i w atmosferze należnej mu atencji. Zachowując wszelkie proporcje, stwierdzić by można, że podzieliło ono losy samej Ustawy Majowej, która na dobra sprawę w tym roku po raz pierwszy po wojnie uczczona została w sposób na jaki zasługuje.

Jako widz z dużym zadowoleniem przyjąłem powrót „Konstytucji 3 Maja", jako recenzent zaś stoję przed zadaniem nieprostym. Zbyt utalentowany i specyficzny jest reżyser by zbyć go pochwalnymi komplementami, zbyt bezkompromisowy i arbitralny w operowaniu środkami ekspresji, by dozowanie niektórych z nich nie budziło wewnętrznego sprzeciwu. Tak analiza warsztatu reżyserskiego Królikiewicza musiałaby z pewnością rozsadzić skromne ramy tego felietonu, ta forma dziennikarska zwalnia jednak z obowiązku pełniejszej oceny. Ot, garść refleksji na marginesie wydarzenia artystycznego, to wszystko na co mnie stać na tych niezbyt pojemnych szpaltach.

Autor widowiska (Królikiewicz niewątpliwie integruje tu wszystkie atrybuty autorstwa) fabularyzuje pamiętne wydarzenia 1791 roku, ale tylko w zakresie wyznaczonym przez autentyczne dokumenty tamtych dni, odezwy, pisma ulotne, broszury polemiczne, listy, pamiętniki, przekazy historyków. Z tego lepiszcza stara się stworzyć możliwie wielostronny i zróżnicowany obraz, w którym obrady sejmowe splatają się z pokrzykiwaniami widzów zgromadzonych na galerii, konwersacje w salonach ze zmawianiem się zwolenników reform w gronie Kuźnicy Kołłątajowskiej, a tajne obrady gabinetowe ze spontanicznymi reakcjami plebejskimi ulicy warszawskiej.

Co więcej, autor nie ogranicza się w czasie do majowej euforii, ale traktuje dzieje Konstytucji szerzej. Poprzedza je wypadkami z 1788 roku, kiedy to zawiązywał się sejm nieustający, zwany przez historię Czteroletnim lub Wielkim, zaś po scenie uchwalenia Ustawy Rządowej Królikiewicz zamieszcza urywkowo wysiłki dyplomacji polskiej w obronie reformy, zawiązanie się konfederacji targowickiej, wreszcie dramatyczne posiedzenie rady koronnej, w czasie której król podejmuje decyzję o przystąpieniu do Targowicy, kładąc kres nadziejom na wydobycie państwa z upadku.

Królikiewicz wpisał swoją opowieść majową w tło odbudowanego w latach siedemdziesiątych Zamku Królewskiego w Warszawie, którego mury były przecież miejscem, gdzie rozgrywały się historyczne wypadki. Świadomie wyciąga reżyser wszelkie implikacje wypływające z tego wyboru. Nie maskuje więc rusztowań i innych śladów budowy, pragnąc w ten sposób zasygnalizować, że zamierza sięgnąć w głąb dziejów jak współczesny reporter telewizyjny. Podobnie jak w sztuce o Grocie-Roweckim i tutaj stosuje nakładanie napisów informujących kim są zabierające kolejno głos postaci dramatu. Ta metoda sprawdza się na ogół.

Mniej natomiast przekonuje mnie przekazanie końcowego posiedzenia rady w formie „brudnej" z nie wyciętymi dublami z myleniem się aktorów i powtarzaniem kwestii. Służyć to zapewne miało wytworzeniu atmosfery nerwowego zapisu, swoistego brulionu, dla mnie jednak miało cechy dezynwoltury, czy maniery.

Podobnie wywoływały we mnie opór niektóre sceny plebejskie, zbyt agresywne, a miejscami wręcz infantylne. Zdaję sobie jednak sprawę, że w tych właśnie scenach reżyser jest do końca sobą. W sposób zadziorzysty i prowokujący epatuje widza, bawi się jakby jego przyzwyczajeniami do konwencji i „dobrego tonu". Być może więc, że i ja dałem się wziąć na ten lep.

Ledwie rozpisałem się na temat warsztatu Królikiewicza, a tu już wyznaczona mi przez redakcję miara każe kończyć. Pozostaje mi stwierdzić, że akceptuję generalnie widowisko i jego autora. Jest ono subiektywne miejscami przerysowane, ale gorące, tętniące podskórnymi pasiami. To nie odhaczenie rocznicy, to autorski STOSUNEK do niej.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy"; ul. A. Mickiewicza 11; kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacje o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 156 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139, prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa—Książka—Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 959 K-2